



ŻYCIE

UNIwersyteckie

nr 9 [325] wrzesień 2020



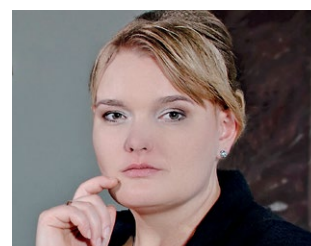
STYPENDYŚCI Z UAM
NASZE NADZIEJE

s. 9



PROF. MACIEJ KOZAK
**SOLARIS – ZUPEŁNIE
JAK SŁOŃCE**

s. 18



BEATA IWANICKA
**NIKT NIE DAWAŁ
MI SZANS**

s. 24

Wiele moich badań jest w toku

Rozmowa z ustępującym rektorem UAM
prof. Andrzejem Lesickim

s. 2

uniwersyteckie.pl
z pasją o Nauce 



FOT. ADRIAN WYKROTA

WIELE MOICH BADAŃ JEST W TOKU

Z **prof. Andrzejem Lesickim**, ustępującym rektorem UAM,
rozmawiają Natalia Chromińska i Krzysztof Smura.

Panie profesorze, jesteście po czterech latach niełatwej kadencji. Czy w 2016 roku mógł pan przypuszczać, że będzie tak trudno?

W 2016 roku zdawałem sobie sprawę, że w latach rozpoczynanej wtedy kadencji będziemy obchodzić 100-lecie uniwersytetu, a zadaniem rektora będzie nadanie tej rocznicy odpowiednio wysokiej rangi. Były też zapowiedzi nowej ustawy, ale nie spodziewałem się, że będzie ona tak radykalna, wymagająca zmiany statusu wydziału i dziekanów, a także zmiany struktury uniwersytetu. A rok 2020 przyniósł pandemię, która na długie miesiące zmieniła nasze funkcjonowanie...

Jakie były zatem największe wyzwania w mijającej kadencji?

Cztery lata temu startowałem z przejrzystym programem, który starałem się krok po kroku realizować. Deklarowałem, że będę stał na straży fundamentalnych zadań uniwersytetu: prowadzenia badań naukowych oraz kształcenia studentów i młodych kadr naukowych w oparciu o wyniki tych badań. Zapowiadałem realizację celów przyświecających założycielom naszego uniwersytetu i jego rozwój adekwatny do dynamicznych zmian w otoczeniu. I to właśnie te zmiany przerosły moje oczekiwania... i wraz z głębokimi reformami wewnętrznymi naznaczyły wydatnie tę kadencję.

Radykalna zmiana porządku prawnego w zakresie nauki i szkolnictwa wyższego wymagała nowego statutu oraz szeregu nowych wewnętrznych aktów prawnych (regulamin pracy, wy-

nagrodzeń, organizacyjny i in.), porządkujących nową uczelnianą rzeczywistość.

W efekcie zbudowaliśmy nową strukturę organizacyjną uczelni, dokończyliśmy ciągnącą się reformę administracji, usprawniliśmy wiele procesów administracyjnych i zwiększyliśmy efektywność naszej pracy (EZD i intranet). Jednocześnie miało miejsce zakończenie wieloletniego programu inwestycyjnego (wraz z realizacją zadań finansowanych wkładem własnym, czyli wygospodarowaniem kilkudziesięciu milionów złotych środków własnych uczelni) oraz wytyczenie nowej mapy drogowej inwestycji na lata 2020-2024.

Mogę jednak z całą pewnością stwierdzić, że mimo zawirowań, byłem wierny założeniom z początku kadencji: sprawowałem pieczę nad autonomią uniwersytetu i nieskrępowaną wolnością badań naukowych, podtrzymywałem różnorodność prowadzonych kierunków studiów oraz wszechstronność poglądów na rzeczywistość. Pamiętałem też, że UAM to przede wszystkim ludzie, to wspólnota pracowników, doktorantów i studentów, ale również osób już na co dzień niezwiązanych z UAM, jak emeryci i absolwenci. To w końcu poznaniacy i Wielkopolanie, do których nam coraz bliżej poprzez odpowiedzialne badania naukowe służące polepszaniu jakości życia, poprzez działania stanowiące reakcję na współczesne problemy cywilizacyjne, kulturowe i etyczne. Dbłość o ludzi uniwersytetu była moim nadrzędnym celem. Jeśli kogoś w tym czasie zawiodłem lub niezamierzenie skrzywdziłem – gorąco przepraszam.

Cztery lata temu postawił pan na grono najbliższych współpracowników, potem dobierając do niego kolejne osoby. W pana ocenie zespół zdał egzamin?

Zespół prorektorski składał się z osób, którym zaufałem i powierzyłem wspólne kierowanie uniwersytetem według swojej najlepszej wiedzy. Wszyscy są świetnymi specjalistami nie tylko w dziedzinach naukowych, które reprezentują, ale również w obszarze zadań, które otrzymali w rektoracie. Na początku entuzjastycznie pracowaliśmy jako zespół. Wspólnie dyskutowaliśmy i wyciągaliśmy wnioski, by osiągać kolejne cele. Wspieraliśmy sprawy uniwersytetu, kierując się najlepiej rozumianym jego interesem. Z czasem okazało się, że nasze postrzeganie realizacji zadań uniwersytetu różni się, bo jesteśmy bardzo różnymi osobowościami, ale do końca kadencji każdy członek zespołu rektorskiego na pierwszym miejscu stawiał uczelnię i jej społeczność. Bardzo wszystkim dziękuję. Dodam, że moje kierowanie uczelnią opierało się nie tylko na współpracy z zespołem prorektorów. Dziękuję za wsparcie, jakie zawsze miałem ze strony dziekanów, ale także ze strony administracji uczelni – kanclerzy, kwestorów oraz wielu pracowników i pracowników Biura Rektora, Biura Organizacyjno-Prawnego, Działu Kadr (teraz już Centrum Spraw Pracowniczych) i wielu innych jednostek. Ceniłem też współpracę – myślę, że bardzo dobrą – z Parlamentem Samorządu Studentów i Sejmikiem Doktorantów. Wszystkim serdecznie dziękuję.

Co uważa pan za największy sukces swojej kadencji? Czy były rzeczy, których pan żałuje?

Niewątpliwie unikatowym wydarzeniem tej kadencji były godne obchody Roku Wielkich Jubileuszy: 100-lecia Uniwersytetu i 100-lecia odzyskania niepodległości naszej Ojczyzny. Setna rocznica mogła wydarzyć się tylko raz i chociaż – w co głęboko wierzę – przed uniwersytetem kolejne stulecia, to dopiero 44. rektor (zakładając 8-letnie kadencje) w historii uniwersytetu, pełniący tę funkcję w 2119 roku, będzie świętował dwusetną rocznicę utworzenia uniwersytetu w Poznaniu. To on otworzy kapsułę czasu zakopaną 7 maja 2019 roku przy wejściu do Collegium Minus... Oczywiście kamieniami milowymi mojej kadencji były: przystąpienie do konsorcjum EPICUR i uzyskanie statusu uniwersytetu europejskiego oraz wejście w skład elitarnego grona uczelni badawczych. To w tej kadencji utworzyliśmy także Polski Instytut Archeologiczny w Atenach.

Czego żałuję? Mój program wyborczy z 2016 roku zakładał ośmioletni okres jego realizacji, przy czym w pełni zdawałem sobie sprawę, że pełnienie funkcji rektora w drugiej kadencji wymagać będzie uzyskania poparcia społeczności uniwersytetu. Ale nowa ustawa nie dała mi nawet szansy na podjęcie starań. Zatem z pewnością nie starczyło czasu na pełne zrealizowanie wszystkich zadań z mojego programu wyborczego...

Niewątpliwym sukcesem było zdobycie miana uniwersytetu badawczego i, co się z tym wiąże, potężnego wsparcia finansowego. Ten obraz nieco zakłóciła forma finansowania. Co dalej?

Nasz uniwersytet znalazł się wśród laureatów pierwszego konkursu Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego „Inicjatywa Doskonałości – Uczelnia Badawcza”. Sukces był poprzedzony głęboką analizą kondycji naukowej uniwersytetu i jego otoczenia oraz przygotowaniem precyzyjnego planu działań, które UAM podejmie jako uczelnia badawcza, w tym wskazanie obszarów badawczych, wokół których będziemy intensyfikować działalność naukową. Znalezienie się w doborowym gronie dziesięciu polskich uczelni to szereg wyzwań, jakim musimy



ZDJĘCIE NA OKŁADCE: ADRIAN WYKROTA

WYDARZENIA

2 | WIELE MOICH BADAŃ JEST W TOKU

Rozmowa z ustępującym rektorem UAM prof. Andrzejem Lesickim

6 | REKTOR ELEKT PRZEWODNICZĄCĄ KRUP

NOWI PROREKTORZY, NOWE OBOWIĄZKI

7 | PO TRZYKROĆ HOMINI VERE ACADEMICO

8 | INTRANET DA SIĘ LUBIĆ

ZIELONY KONKURS

STYPENDYŚCI Z UAM

10 | ENERGETYCZNIE I Z PRZYTUPEM...

Katarzyna Pydzińska-Białek z Wydziału Fizyki UAM

11 | GEOARCHEOLOG Z PASJĄ

Dr Jakub Niebieszczański z Wydziału Archeologii

12 | MYŚLĘ, WIĘC JESTEM...

Olga Żyminkowska, laureatka Stypendium im. dr. Jana Kulczyka

13 | EFEKT JĘZYKA OBCEGO

Rafał Jończyk z Wydziału Anglistyki UAM

14 | OPROGRAMOWANIE DLA LASU

Geograf dr Jakub Nowosad

15 | W OGRODZIE „ZŁOTEGO WIEKU”

Aleksandra Wieczorkiewicz, laureatka Stypendium im. dr. Jana Kulczyka

16 | CHWYCIĆ BYKA ZA ROGI

Włodzimierz Czepa z Wydziału Chemii

17 | GODZIĆ SOCJOLOGIĘ Z PEDAGOGIKĄ

Agnieszka Nymś-Górna, laureatka Stypendium im. dr. Jana Kulczyka

NAUKA

18 | PROF. MACIEJ KOZAK – WYDZIAŁ FIZYKI UAM:

SOLARIS – ZUPEŁNIE JAK SŁOŃCE

20 | BEZ OWADÓW NIE MA ŻYCIA NA ZIEMI

Rozmowa z entomologiem dr. Szymonem Konwerskim z Wydziału Biologii UAM

22 | DLA ŻYDÓW DRZWI BYŁY ZAMKNIĘTE

Rozmowa z prof. Piotrem Forekim z Wydziału Nauk Politycznych i Dziennikarstwa

LUDZIE UAM

24 | BEATA IWANICKA: NIKT NIE DAWAŁ MI SZANS

26 | PROF. ELŻBIETA GOŹDZIAK: NA POCZĄTKU BYŁA PODRÓŻ

sprostać podczas realizacji nowej strategii badawczej, ale to też dodatkowe środki finansowe (ponad 300 mln zł) na wypełnienie zadań bardzo silnie zorientowanych na badania naukowe. Oznacza to zwiększenie subwencji dla UAM w każdym z następnych siedmiu lat o niebagatelną kwotę 10% subwencji z roku 2019. W ostatnich dniach grudnia 2019 roku otrzymaliśmy z rezerwy ministerstwa dodatkowe środki w kwocie ponad 18 milionów złotych, które pozwoliły na uruchomienie pierwszych konkursów związanych z Inicjatywą Doskonałości.

Decyzja ministerstwa, aby środki finansowe przekazać w formie skarbowych papierów wartościowych, była niewątpliwie niemiłym zaskoczeniem, ale też nie była nową praktyką. Już w 2019 roku otrzymaliśmy tego rodzaju wsparcie w wysokości blisko 40 mln zł. To kolejne wyzwanie, z którym się zmierzmy, ale dzięki dobrej kondycji finansowej UAM z pewnością sobie poradzimy.

Uniwersytet Europejski działa od roku. Czy przez ten rok droga do Strasburga nam się skróciła?

Podjęcie decyzji o przystąpieniu do tworzącego się konsorcjum, w skład którego, obok UAM, weszły uczelnie ze Strasburga, Freiburga, Amsterdamu, Karlsruhe, Wiednia, Salonik i Miluzy, dało impuls do nowego myślenia o dydaktyce. Zbliżyło do idei stworzenia wspólnego systemu kształcenia opartego na różnych rodzajach mobilności, od tradycyjnej po wirtualną. Głównym celem konsorcjum jest integracja i wspólne ubieganie się o granty badawcze i edukacyjne w nowej perspektywie unijnej, a także stworzenie modelu funkcjonowania Uniwersytetu Europejskiego, który będzie wzorem dla kolejnych uczelni przystępujących do programu. Wiele przez ten pierwszy rok już się wydarzyło, zarówno na niwie współpracy z konsorcjantami, jak i na naszym podwórku. Kilka spotkań (w Brukseli, Salonikach, Miluzie, Wiedniu i Strasburgu) umocniło pozycję uniwersytetu jako poważnego i zaangażowanego partnera w konsorcjum. Są już pierwsze efekty współpracy. Warto podkreślić, że po lipcowym poszerzeniu przez Unię Europejską listy konsorcjów tworzących uniwersytety europejskie (z 17 do 41), znalazły się na niej konsorcja z udziałem 5 kolejnych polskich uczelni, ale to rektorowi elektowi UAM ministerstwo powierzyło rolę lidera w tej grupie. W lipcu 2020 roku staliśmy się jednym z beneficjentów finansowania przyznanego Konsorcjum EPICUR na realizację projektu w ramach programu Horyzont 2020. Na Uniwersytecie Arystotelesa w Salonikach wkrótce ruszy lektorat języka polskiego. Z naszej inicjatywy zostaliśmy liderem pakietu działań studenckich. Wyszliśmy też z inicjatywą organizacji na UAM konferencji „Uniwersytety europejskie: polskie doświadczenia i perspektywy” skierowanej do polskich uczelni aktywnie uczestniczących w inicjatywie Uniwersytetów Europejskich. Spotkanie to ma poszukiwać płaszczyzn współpracy dla polskich uczelni w ramach uczestnictwa w inicjatywie oraz zainicjować debatę o wyzwaniach i szansach dla miasta i regionu, jakie niesie z sobą powołanie Uniwersytetu Europejskiego. Ma również służyć wypracowaniu studenckiej wizji europejskiego uniwersytetu przyszłości.

Ponadto, jednym z zadań UAM w projekcie EPICUR jest stworzenie studiów łączących nauki ścisłe i humanistyczne. Już w nowym roku akademickim Wydział Historii UAM zaofiaruje nowy interdyscyplinarny program studiów licencjackich – Liberal Arts and Sciences – będący propozycją dla tych, których zainteresowania nie mieszczą się w ramach jednej specjalizacji. W przyszłości będziemy te studia realizować na wirtualnym kampusie naszych zrzeszonych uniwersytetów.

W kadencji 2016 – 2020 sporo mówiono o federacji poznańskich uczelni. Czy to zadanie na kolejną kadencję? Cztery lata wystarczy, by zwiększyć siłę UP?

Rzeczywiście, nowa ustawa pozwoliła na poważnie zacząć myśleć o tworzeniu struktur ponad uniwersytetem. Otworzyła drogę do federacji uczelni, czyli sytuacji, w której poznańskie publiczne szkoły wyższe – zarówno te, które wywodzą się z Wszechnicy Piastowskiej, jak i te powstałe niezależnie, zachowując swoją odrębność struktury, władz, kierunków kształcenia – przyjęłyby status federacji skupionej wokół badań naukowych. Połączenie potencjałów tych uczelni może okazać się wielką szansą dla naszego miasta i dla polskiej nauki. W mijającej kadencji podjęliśmy szereg rozmów na ten temat w ramach Kolegium Rektorów Miasta Poznania. Wielkim krokiem ku zjednoczeniu było wspólne świętowanie 100-lecia Uniwersytetu Poznańskiego w gronie uczelni z niego się wywodzących, a więc wraz z Uniwersytetem Medycznym, Uniwersytetem Przyrodniczym i Akademią Wychowania Fizycznego. Nasze połączone senaty podjęły wówczas uchwałę głoszącą deklarację powrotu do idei wielkiego uniwersytetu. W nawiązaniu do tej wspólnej uchwały poszczególne senaty podjęły w czerwcu tego roku odrębne uchwały potwierdzające wolę przystąpienia do prac na rzecz powołania federacji. Trzeba zaznaczyć, że w pracach uczestniczą nie tylko cztery uczelnie wywodzące się z Wszechnicy Piastowskiej, ale także Uniwersytet Ekonomiczny, Politechnika Poznańska, Uniwersytet Artystyczny i Akademia Muzyczna. Uznaliśmy, że najważniejszym momentem rozpoczęcia działania federacji poznańskich uczelni publicznych będzie dzień 1 stycznia 2023 roku, po przeprowadzeniu ewaluacji osiągnięć naukowych reprezentowanych na nich dyscyplin. Co bardzo ważne, deklarację kontynuacji działań zmierzających do powstania federacji uczelni poznańskich złożyła w swoim programie rektor elekt prof. Bogumiła Kaniewska.

Jest pan zadowolony ze statutu, czy już widzi pan rzeczy, które należałoby poprawić?

Nowy statut stworzył ramy dla nowej struktury organizacyjnej uniwersytetu. Zgodnie z zapisem Ustawy – Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce, uczelnia oceniana będzie według dyscyplin, zatem temu podporządkowana została struktura UAM: szkoły dziedzinowe, a w nich wydziały dyscyplinowe. Statut porządkuje także sprawy pracownicze i dostosowuje szereg innych zapisów do nowego prawa. Przeprowadziłem uczelnię przez ten przełomowy, trudny czas restrukturyzacji – teraz konieczna będzie weryfikacja wprowadzonych zmian, uważna analiza działania nowej struktury i nowych rozwiązań w administracji. Już wiadomo, że doprecyzowania wymaga kwestia relacji między szkołami dziedzinowymi a wydziałami, a także ustalenie zakresu kompetencji prorektorów kierujących szkołami, by istnienie szkół usprawniało funkcjonowanie uczelni, nie ograniczając przy tym samodzielności wydziałów. W końcu lipca br. na spotkaniu podsumowującym mijającą kadencję, wraz z dziekanami rozpocząłem dyskusję na temat ewentualnych zmian w statucie na podstawie oceny trafności jego rozwiązań po blisko roku obowiązywania. Mówiliśmy m.in. o zmianie struktur związanych z zapewnieniem jakości kształcenia, a także o wyraźnym rozdzieleniu władzy wykonawczej rektora i dziekanów od władzy ustawodawczej pełnionej przez senat. Zaproponowałem rozważenie utworzenia nowego organu kolegialnego (rady rektorskiej), w skład którego wchodziłoby rektor, prorektorzy i dziekani, pozostawiając wszystkie miejsca w senacie społeczności uniwersytetu. Rektor Kaniewska z pewnością dokończy te reformy.

A ustawa 2.0? Sprawdzaj się?

Ten nowy, podstawowy dla nas akt prawny zastąpił cztery obowiązujące dotąd ustawy: prawo o szkolnictwie wyższym, o zasadach finansowania nauki, o stopniach i tytule naukowym, a także ustawę o kredytach i pożyczkach studenckich. Zmienił się dogłębnie porządek prawny, w którym dotąd funkcjonowaliśmy. Od roku działamy w nowej strukturze organizacyjnej uniwersytetu – pięć szkół dziedzinowych, dwadzieścia wydziałów dyscyplinowych, cztery filie i Szkoła Doktorska, której sekcje prowadzone są w ramach poszczególnych szkół dziedzinowych.

Ustawa 2.0 była potrzebna i wyczekiwana. Do 30 września 2018 roku w polskiej nauce obowiązywał podział na obszary, w których były wydzielone dziedziny, a w nich ponad 130 dyscyplin. Rozdrobnienie było duże. To zostało uporządkowane. Dziś nauka dzieli się na osiem dziedzin, a każda z nich (z wyjątkiem nauk teologicznych) na kilka dyscyplin, których w sumie jest 47. W nowym systemie na ostateczną ocenę dyscypliny wpływ będzie miał każdy naukowiec, zatem warunkiem powodzenia jest zmiana myślenia wielu pracowników. O ocenie wydziału decydują w dużym stopniu pisane przez pracowników publikacje. Wyzwaniem jest też tryb ewaluacji oraz sprostanie ocenie w zakresie oceny działalności naukowej – to zaś przekłada się na kategorię i uprawnienia akademickie.

Mimo ogromu pracy postrzegam tę zmianę jako szansę na rozwój uczelni. Mamy możliwość stworzenia silnych dyscyplin naukowych, szansę na ciągłość i kumulację dorobku w dyscyplinach oraz integrację horyzontalną. Ustawa daje wielką szansę poprawy poziomu naukowego, sprzyja pogłębianiu interdyscyplinarności i tworzy szerokie perspektywy dla pracowników badawczo-dydaktycznych, a wraz z uzyskaniem statusu uczelni badawczej i dodatkowym finansowaniem badań naukowych nasz uniwersytet otrzymał szansę na skokowy rozwój naukowy, dalszy wzrost jakości kształcenia i umacnianie relacji z otoczeniem społeczno-gospodarczym.

Czy wszystkie rozwiązania nowej ustawy są trafne? Nie, na pewno nie. Ot, chociażby wykaz dyscyplin – choć pozytywny z punktu widzenia ograniczenia ich liczby – nie jest doskonały. Zupełnie innym problemem jest fakt, że pracownicy deklarujący badania naukowe w ramach określonej dyscypliny nie są jednocześnie pracownikami odpowiedniego wydziału dyscyplinowego, chociaż wchodzi w skład rady naukowej dyscypliny. Z różnych względów skorelowanie tych problemów wymaga czasu. Dodam, że przez ostatnie 30 lat budowaliśmy nowe obiekty uniwersytetu z wizją zasiedlania ich przez określone wydziały. Teraz, gdy powstały wydziały dyscyplinowe, niektóre z nich mają siedziby w kilku obiektach UAM i nie można z dnia na dzień tej sytuacji zmienić. Trzeba dostrzegać pracowników, ich potrzeby i oczekiwania.

Pandemia trafiła się w historii uniwersytetu tylko panu i oby tylko raz. Daliśmy radę?

Przez dwanaście lat, w trakcie których odpowiadałem – początkowo jako prorektor ds. kadr, a potem jako rektor – za pracowników, doktorantów i studentów uniwersytetu, nie byliśmy w tak niepokojącej sytuacji, jaką mamy w ostatnich miesiącach. Niestety, pandemia się nie zakończyła, a nawet nie przygasła. Trudno ocenić, czy daliśmy radę. Myślę, że zrobiliśmy wszystko, co było możliwe. W trybie pilnym wdrożyliśmy w uczelni kształcenie na odległość. Zdalnie zdawane są egzaminy i przeprowadzane obrony prac. Zdalnie pracujemy w ciałach kolegialnych. Jestem bardzo wdzięczny wszystkim osobom, które wspierały moje działania, organizując pracę zdalną na poszczególnych

55

– liczba posiedzeń Senatu

509

– liczba podjętych uchwał

48

– to suma kolegów rektorsko-dziekańskich

21

– tyle przyznano medali

Homini Vere Academico

wydziałach. Wieloletnie przygotowania do informatyzacji działań uczelni bardzo się przydały.

Pandemia wywołała lawinę nowych inicjatyw, np. miniwykłady w cyklu UAMówi lub spotkania online, takie jak konferencja „Jan Paweł II – nasz współczesny”, gala finałowa XIV Konkursu Literackiego o Nagrodę FanFila czy też tradycyjny (choć zdalny) koncert majowy w dniu święta uniwersytetu. Wspomnę też webinaria wspierające zdalne kształcenie. Zaczęliśmy eksplorować nowe obszary badań. Zespół badaczy z Centrum Zaawansowanych Technologii podjął badania nad weryfikowaniem testu immunologicznego na obecność przeciwciał skierowanych przeciwko wirusowi SARS-CoV-2. Z kolei zespół pracowników i doktorantów z Instytutu Biologii Molekularnej i Biotechnologii wsparł Uniwersytet Medyczny w wykonywaniu testów na obecność tego wirusa. Wreszcie cieszy mnie bardzo, że aż czternaście zespołów badaczy z UAM zgłosiło swoje projekty w konkursie NCN „Szybka ścieżka dostępu do funduszy na badania nad COVID-19”. W lipcu ogłosiłem nowy konkurs na najlepsze projekty w zakresie badań nad koronawirusem, na który przeznaczona została kwota 1,2 mln zł. Bardzo duże zainteresowanie tym konkursem wskazuje potrzebę dalszych jego edycji.

Przede wszystkim jednak zdaliśmy egzamin z człowieczeństwa. Ten wyjątkowy czas sprawił, że nasza wspólnota mogła poczuć więź inną, głębszą niż zazwyczaj, naznaczoną solidarnością i wrażliwością, wyrozumiałością i zaufaniem.

Do kontynuowania działalności uczelni w okresie pandemii przyczyniło się bardzo wiele osób – pracowników, doktorantów i studentów. Wszystkim bardzo serdecznie dziękuję.

Co teraz? Jakie są plany profesora Lesickiego po 1 września?

31 sierpnia 2020 roku kończy się okres sprawowania funkcji rektora, ale to również moment, gdy upłynie 47-letni okres mojej pracy na UAM, w którym przez ostatnie 24 lata pełniłem funkcje prodziekana, dziekana, prorektora i rektora (choć właściwie nieprzerwanie od 1981 roku byłem członkiem rady wydziału, a przez pewien czas reprezentowałem adiunktów uniwersytetu, a także profesorów Wydziału Biologii w senacie). To duży багаż doświadczeń. Jeśli zatem będę mógł być przydatny uniwersytetowi i jego społeczności, spróbuję swoje doświadczenia im oddać, jednakże to zależeć będzie już od pani rektor i ewentualnych propozycji z jej strony. Przez cały okres dziekanowania i rektorowania pracowałem naukowo, zapewne z mniejszą efektywnością, ale starałem się publikować jak najwięcej. Wiele moich badań jest w toku. Chciałbym je spokojnie dokończyć. Mam nadzieję, że zdążę...

REKTOR ELEKT PRZEWODNICZĄCĄ KRUP

Rektor elekt UAM prof. Bogumiła Kaniewska została przewodniczącą Konferencji Rektorów Uniwersytetów Polskich na kadencję 2020-2024.

Wcześniej przewodniczącymi KRUP byli prof. Stefan Jurga (w latach 1999–2002), prof. Stanisław Lorenc (w latach 2005–2008) oraz prof. Bronisław Marciniak (w latach 2012–2016). Prof. Bogumiła Kaniewska jest zatem czwartym rektorem z UAM, który przewodzi temu ciału i pierwszą kobietą na tym stanowisku.

KRUP jest autonomicznym zgromadzeniem zrzeszającym 20 rektorów uniwersytetów działających w Polsce oraz rektora Uniwersytetu Papieskiego Jana Pawła II w Krakowie. Służy po-

głębianiu więzi i współpracy między uczelniami. Powołana została przez rektorów uniwersytetów na zjeździe w Krakowie 16 lutego 1989 roku. Była to odpowiedź środowiska akademickiego na przyjęcie 18 września 1988 r. w Bolonii Wielkiej Karty Uniwersytetów Europejskich.

KRUP opracowuje i przedstawia opinie i stanowiska w sprawach istotnych dla rozwoju polskiej nauki, szkolnictwa wyższego, kultury i oświaty, współpracuje także z Konferencją Rektorów Akademickich Szkół Polskich. **(red)**



FOT. ADRIAN WYKOTA

NOWI PROREKTORZY, NOWE OBOWIĄZKI

Siedem osób w nowym roku akademickim obejmie funkcję prorektora UAM.

Jak zapewnia prof. Bogumiła Kaniewska nowo wybrana rektor, wszyscy kandydaci na funkcje prorektorów cechują się pracowitością, rzetelnością i uznaniem w świecie nauki. – Jestem pewna – podkreśliła – że z tak doświadczonym zespołem będę efektywnie kierować naszym uniwersytetem przez najbliższe cztery lata. Pozwoli to w niedalekiej przyszłości zrealizować zadania określone w moim programie, co zaowocuje sukcesami w dziedzinie badań, dydaktyki, organizacji i relacji z otoczeniem społeczno-gospodarczym.

W GRONIE PROREKTORÓW ZNALEŻLI SIĘ:

- Prof. Michał Banaszak** – prorektor ds. cyfryzacji i współpracy z gospodarką,
- Prof. Katarzyna Dziubalska-Kołaczyk** – prorektor ds. nauki,
- Prof. Zbyszek Melosik** – prorektor ds. relacji z otoczeniem społecznym,
- Prof. Tadeusz Wallas** – prorektor ds. kadr i rozwoju,
- Prof. Rafał Witkowski** – prorektor ds. współpracy międzynarodowej,
- Prof. Przemysław Wojtaszek** – prorektor ds. projektów badawczych i doktorantów,
- Prof. Joanna Wójcik** – prorektor ds. studenckich i kształcenia.

(maz)

PO TRZYKROĆ HOMINI VERE ACADEMICO



FOT. JACODA HALOSZKA

Prawniczka **prof. Hanna Suchocka** otrzymała 8 lipca zaszczytny medal Homini Vere Academico. Prof. Suchocka to pierwsza w historii kobieta premier RP, była ambasador RP przy Stolicy Apostolskiej, Dama Orderu Orła Białego, a obecnie profesor naszego uniwersytetu. W trakcie uroczystości dziekan WPiA prof. Roman Budzinowski przypomniał drogę zawodową laureatki. Jego zdaniem znaczącą cezurę stanowi w tej biografii decyzja o powrocie na UAM po zakończonej karierze politycznej. – Od zawsze jestem związana z UAM, wszystko co osiągnęłam, wyniosłam właśnie stąd – mówiła prof. Hanna Suchocka – Nigdy nie żałowałam decyzji o powrocie. Zawsze uważałam, że należy powracać do siebie. Dzięki temu powrotowi zyskałam nowe, inne życie. Życie, która pozwala mi z innej perspektywy patrzeć na politykę, ale też muszę zaznaczyć, że nigdy nie trafiłabym do polityki, gdyby nie ten uniwersytet. **[ziol]**

– Kiedy spędzi się na uniwersytecie pół wieku, to nie ma wyróżnienia ważniejszego i bardziej wzruszającego niż to, które otrzymuje się od swojej uczelni – mówiła **prof. Sławomira Wronkowska-Jaskiewicz** – Jestem wdzięczna, ale też mam mnóstwo wątpliwości, czy na nie zasługuję. Profesor nauk prawnych, sędzia Trybunału Konstytucyjnego w stanie spoczynku, była prorektor UAM i kierowniczka Katedry Teorii i Filozofii Prawa WPiA 15 lipca także odebrała medal Homini Vere Academico. W trakcie ceremonii rektor UAM prof. Andrzej Lesicki powiedział: – Medal ten jest wyrazem uznania za pani postawę zarówno jako nauczyciela akademickiego, jak i sędziego Trybunału Konstytucyjnego. Postawę, która pokazywała, że w takich gremiach jak Trybunał Konstytucyjny, sędzia reprezentuje prawo, nie jest zaś reprezentantem żadnej grupy politycznej. Ma wiedzę i wykorzystuje ją do tego, aby prawo oznaczało też sprawiedliwość. **[ziol]**



FOT. ADRIAN WYKROTA



FOT. ADRIAN WYKROTA

Trzecią osobą obdarowaną w lipcu zaszczytnym wyróżnieniem był **prof. Jerzy Marian Brzeziński** z Wydziału Psychologii i Kognitywistyki. Profesor nie byłby sobą, gdyby dziękując za wyróżnienie nie odniósł się do wolności nauki i konieczności jej obrony. Podsumowując swoje wystąpienie powiedział: – Służyłem i służę uniwersytetowi i Polskiej Akademii Nauk i bardzo się z tego cieszę, bo najważniejsze jest, aby z tego, co się robi, mieć zadowolenie. Wcześniej rektor UAM przywołał dokonania laureata oraz wspominał o jego akademickiej postawie, która cechuje całe jego życie. Laudację wygłosił dziekan prof. Mariusz Urbański. Barwnie przedstawił on czas i miejsce, w którym przyszło żyć, uczyć i tworzyć laureatowi. Podkreślił jego wartość naukową i wybitne dokonania, bez których nie byłoby dzisiaj Wydziału Psychologii i Kognitywistyki. Wspominał o jego niezależności i uniwersyteckości jego postawy, zarówno życiowej jak i naukowej. **[kris]**

INTRANET DA SIĘ LUBIĆ

Choć Intranet ruszył kilka miesięcy temu, rzadko do niego zaglądamy. Dlaczego warto z niego korzystać, mówią pracownicy, którzy doceniają jego funkcjonalność.



Dawid Tobolski,
Sekcja Zarządzania Projektami
Uniwersytet Jutra:

Do Intranetu zalogowałem się dopiero w pierwszych dniach pandemii i korzystam do dziś. Intranet to wygoda, wszystko w jednym miejscu, a przy tym oszczędność czasu. Uważam, że znacznie usprawnił komunikację, w szczególności w administracji. W Teamsie tworzymy grupy dyskusyjne, na których wymieniamy się zarówno wiedzą, jak i dokumentami, co dodatkowo pozytywnie wpływa na budowanie naszych relacji. Ważną cechą Intranetu jest przestrzeń tzw. chmura (bez limitu) do przechowywania dokumentów i ważnych plików. Ułatwia pozyskiwanie i zarządzanie dokumentami z każdego miejsca. Warto podkreślić, że narzędzie jakim jest Intranet zakupione zostało w ramach projektu Uniwersytet Jutra.



Agnieszka Motyl,
kierownik Sekcji Promocji
w Centrum Marketingu:

Intranet to nie tylko baza uniwersyteckich wewnętrznych działań i dokumentów – zawiera wszystkie narzędzia potrzebne do współpracy z całą uczelnią. Łączy społeczność, pozwala szybko skontaktować się z odpowiednią jednostką, osobą, znaleźć pliki, dowiedzieć się,

jak zamówić materiały biurowe, promocyjne i inne. Korzystam z niego codziennie. Dodatkowo to, że daje dostęp do pełnego pakietu Office w chmurze bardzo usprawnia pracę. W pierwszym kontakcie Intranet może wydawać się trudny, jednak kiedy wszyscy zaczniemy z nim regularnie pracować, to szybko dostrzeżemy wiele korzyści. Istotne jest też to, że treści przeznaczone tylko dla społeczności uniwersyteckiej przestały być dostępne dla odbiorcy zewnętrznego. Tęgo atutu w ocenie Intranetu nie można pominąć.



Joanna Janas,
Centrum Wsparcia Współpracy
Międzynarodowej:

Intranet pozwala mi aktualizować informacje dotyczące współpracy międzynarodowej. Dzięki niemu szybko znajduję dane np. z jakimi uczelniami mamy podpisane umowy i w jakim zakresie. W Intranecie zamieszczam m.in. informacje o wydarzeniach np. dotyczących programów dla stypendystów zagranicznych oraz oferty stypendialne dla studentów, doktorantów i pracowników naukowych UAM. Dzięki niemu wiele osób ma szansę dotrzeć do informacji, bo z materiałów drukowanych mało kto korzysta. Intranet na pewno usprawni współpracę zagraniczną, jest przy tym bardzo wygodny i przejrzysty. Cały czas się go uczę.

Rozmawiała Ewa Konarzewska-Michalak

ZIELONY KONKURS

Projekty nagrodzone w drugiej edycji konkursu IDEAMU pokazują, jak na co dzień dbać o środowisko i wspierać rozwój idei Zielonego Uniwersytetu.

Jeden ze zwycięskich projektów, „Zielone konferencje” autorstwa prof. Natalii Bloch, dr. Łukasza Kaczmarka i Kamili Grześkowiak z Instytutu Antropologii i Etnologii UAM, polega na wydaniu przewodnika dobrych praktyk dotyczącego organizacji odpowiedzialnych społecznie i „zielonych” konferencji.

W zeszłym roku antropolodzy zdobyli doświadczenie organizując światowy kongres Międzynarodowej Unii Nauk Antropologicznych i Etnologicznych. Okazało się, że można przygotować olbrzymią konferencję w sposób przyjazny środowisku bez podnoszenia kosztów.

Poznańscy antropolodzy postanowili podzielić się wiedzą i dobrymi praktykami z innymi naukowcami. – Przewodnik krok po kroku prowadzi organizatorów konferencji przez meandry przygotowań ekologicznego spotkania. Dowiedzą się z niego m.in. jak unikać różnego rodzaju pułapek z kategorii tzw. zielonej ściemy (green washing). To z jednej strony katalog dobrych praktyk, z drugiej strony – rekomendacji – powiedziała prof. Natalia Bloch.

Drugi projekt, „PapieroEKOlogia + HydroDOSKONALENIE” przygotował dr Paweł M. Owsianny, Iwona Kukowka, Magdalena Ozga, Mateusz Gutowski, Tomasz Paliwoda, Marta Miciak i Marta Piekuta z Nadnoteckiego Instytutu UAM w Pile. Polega on na wprowadzeniu rozwiązań i praktyk oszczędnego i proekologicznego gospodarowania papierem, zracjonalizowania gospodarki wodnej oraz ograniczenia użytkowania jednorazowych opakowań plastikowych w NI. – Największą wartością projektu jest to, że powstał dzięki współpracy naukowców, dydaktyków i pracowników administracyjnych. Wprowadzone przez nas rozwiązania mają trafić również do innych jednostek. Wierzymy, że będzie to standard na całym uniwersytecie – podkreślił dr Paweł M. Owsianny.

Laureaci otrzymali równorzędne nagrody w wysokości 7500 zł, ufundowane przez Santander Universidades, który w tym roku wsparł konkurs.

Ewa Konarzewska-Michalak



NASZE NADZIEJE





FOT. ADRIAN WYKROTA

Energetycznie i z przytupem...

Mimo nieprzekroczonej granicy lat 30, **Katarzyna Pydzińska-Białek** z Wydziału Fizyki UAM może pochwalić się wcale pokaźnym dorobkiem naukowym. Składają się nań publikacje, staże naukowe i liczne stypendia. Jest też zdeklarowaną feministką, naukowczynią, mężatką, a także od pięciu miesięcy matką – i to wyjątkową, bo podwójną.

Gdyby iść tym tropem, to wiele spraw w życiu Katarzyny Pydzińskiej-Białek wydarza się podwójnie, ot choćby Diamentowy Grant. Razem z mężem, Rafałem Białkiem z Wydziału Fizyki UAM, tworzą „diamentowe małżeństwo” – jedyne takie w skali całego Uniwersytetu, a być może nawet kraju.

– Dwa razy stypendium ministra, raz stypendium marszałka województwa wielkopolskiego, rektora również dwa razy (na doktoracie – bo w sumie pięć razy – jeśli uwzględnić studia), Diamentowy Grant, Preludium z NCN również raz – wylicza z wyraźnym trudem. Teraz do tej listy może dopisać Stypendium Miasta Poznania, które właśnie otrzymała. Nie wiem, czy prowadzone są takie statystyki, ale w liczbie stypendiów i grantów Katarzyna Pydzińska-Białek na pewno jest liderką.

Większość z nich zawdzięcza wytężonej pracy i zaangażowaniu. Mało kto wie, że Katarzyna Pydzińska-Białek do nauki wkroczyła z przytupem już na II roku studiów – i do dziś utrzymuje tempo. Publikacje, staże, nowe pomysły na eksperymenty, wszystko to bez magisterki, ale z otwartym przewodem doktorskim. Jej naukowe CV tworzą badania nad ogniwami słonecznymi. Obecnie zajmuje się modnym w środowisku naukowym tematem: fotoogniw perowskitowych. W swojej pracy skupia się na opisie transportu elektronów: w jaki sposób się on odbywa, z jaką szybkością zachodzą poszczególne etapy tego transportu. Stara się też dociec, dlaczego dochodzi do utraty ładunku. W tych miejscach ogniwa, w których przepływ elektronów nie jest optymalny, próbuje wprowadzać fizyczne lub chemiczne modyfikacje (na przykład zmieniając składniki chemiczne lub modyfikując warstwy separujące ładunek), tak aby przepływ elektronów odbywał się z mniejszymi stratami, a dzięki temu fotoogniwo działało z większą wydajnością.

– Mam świadomość, że ciągle jest jeszcze wiele do zrobienia w zakresie badań nad ogniwami perowskitowymi. To na urlopie macierzyńskim utwierdziłam się w przekonaniu, że właśnie to

chcę robić w życiu. Że te badania są bardzo potrzebne. I to nie tylko w mikroskali mojego życia, pracy i dokonań naukowych, ale też w perspektywie całej naszej planety – twierdzi – Ogniwa słoneczne stanowią niezwykle, przyjazną dla naszej planety, ale też i naszej kieszeni, alternatywę pozyskiwania energii. Dają mnóstwo nowych możliwości – cieszę się, że mogę w ich odkrywaniu uczestniczyć. Mam mocne poczucie, że moja praca jest ważna.

Katarzyna Pydzińska-Białek od pięciu miesięcy jest matką bliźniaków. Cięża, a potem poród wymusiły na niej wzmożoną mobilizację sił. W ciągu tych kilku miesięcy oczekiwania na dzieci pracowała intensywnie, aby po rozwiązaniu zająć się nimi. Granty, które prowadzi, nie przewidują bowiem przerwy na macierzyństwo. Również teraz stara się uczestniczyć w badaniach, które prowadzone są w jej grupie. Kiedy nauka jest kobietą, wymaga znacznie więcej czasu, zaangażowania i poświęcenia. Chociaż, jak mówi Pydzińska-Białek, mimo że na wydziale kobiety są w mniejszości, to wcale nie czują się dyskryminowane. Naukowiec to naukowiec i tyle – dodaje.

W domu za to bardzo pilnuje, aby obowiązki dzielone były po równo. Bo, jak wspomina, na feministkę wychował ją jej tata – ojciec czworga córek. Zatem domowe prace, opieka nad maluchami – wszystko po połowie i sprawiedliwie. Chociaż nie zawsze jest to proste. Zwłaszcza jeśli rodzinę tworzy dwoje naukowców.

– W nauce jest trochę tak, że lepiej sprawdzają się związki, w których tylko jedno z małżonków pracuje naukowo. Jeśli kiedyś zdecydujemy się na dłuższy staż naukowy, trudno będzie nam wybrać, które z nas ma pracować, a które opiekować się dziećmi. Zwłaszcza, że oboje kochamy swoją pracę. Mamy jeszcze trochę czasu i wielką nadzieję, że znajdziemy miejsce, gdzie oboje będziemy mogli realizować się naukowo i rodzinnie.

Magda Ziółek

Geoarcheolog z pasją

Z dr. Jakubem Niebieszcząńskim z Wydziału Archeologii, laureatem stypendium Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego rozmawia Krzysztof Smura.

FOT. ADRIAN WYKROTA



Stypendium ministerialne to duże wydarzenie w życiu badacza. Otrzymywane przez trzy lata pieniądze pomogą lepiej żyć, czy coś jeszcze?

Zdecydowanie coś jeszcze. To forma prorozwojowa, ale nie ukrywajmy, to też forma dowartościowania. Stypendium ma motywować do dalszej pracy. Dzięki niemu będę mógł skupić się na moich głównych kierunkach badawczych.

Przygotowując się do rozmowy przeszedłem pana ścieżkę kariery, wczytałem się w publikacje i okazało się, że naukowiec na początku kojarzony przeze mnie z Grecją, działa i w Polsce, i na Ukrainie i na Węgrzech...

Archeologia wiąże się zazwyczaj ze specjalizacją w ramach konkretnego regionu lub wycinkiem dziejów. Ja w swoich badaniach zajmuję się geoarcheologią. Stanowi ona połączenie bardzo wielu procedur badawczych, które zmierzają do odtworzenia tego, co otaczało człowieka w przeszłości, czyli środowiska przyrodniczego. Pozwala to na wyjście poza regionalny i chronologicznie ograniczony wycinek, gdyż geoarcheologia ma zastosowanie uniwersalne. Pragnę jednak podkreślić, że nie działam sam, bo wieloaspektowość geoarcheologii wymaga współpracy wielu specjalistów. Wobec tego wyniki moich badań są wypadkową pracy wielu osób, np. naukowców z Wydziału Nauk Geograficznych i Geologicznych. Nikt chyba nie jest w stanie prowadzić w pojedynkę pracy naukowej – geoarcheologia jest świetnym przykładem konieczności współpracy między dyscyplinami.

Ale specjalizuje się pan w brązie?

Zazwyczaj tak wychodziło z racji współpracy przy projektach badawczych, ale nie jestem przywiązany do konkretnego okresu, moją specjalizacją jest geoarcheologia...

...z którą były związane badania na Ukrainie, Węgrzech i w Polsce?

Dokładnie tak. To są wszystkie badania archeologiczne, zmierzające do zrekonstruowania dawnych krajobrazów.

Jak zapowiadał na łamach ŻU prof. Janusz Czebreszuk w dołynie rzeki Anthemous rozpoczyna się niebawem kolejny etap badań, w którym geoarcheologia będzie miała bardzo duże, jeśli nie decydujące znaczenie. Na czym będą polegały badania i jak je się prowadzi?

W tych badaniach wykorzystujemy cały zestaw metod geoarcheologicznych. Obecnie jesteśmy prawdopodobnie jedynym ośrodkiem archeologicznym w Polsce, który wykorzystuje metodę vibra-coring. Dzięki niej jesteśmy w stanie pobierać rdzenie osadów w podobny sposób jak na lodowcach. My celujemy

w bezpośredni kontekst stanowisk archeologicznych – na przykład torfowiska czy osady powodziowe. Polega to na wbijaniu stalowego próbnika przez młot pneumatyczny. Wewnątrz tego pierwszego znajduje się rura PCV, w której gromadzi się osad o niezaburzonej stratygrafii. Możemy więc badać profil warstwy po warstwie – ta metoda pozwala nam na obserwacje nawet kilkumilimetrowych laminacji osadów. Później w laboratoriach, dzięki badaniom specjalistów, jesteśmy w stanie odtwarzać zmiany krajobrazu i ustalać ich przyczyny.

Czy na podstawie takich badań będzie można np. odtworzyć wygląd doliny Anthemousa?

Z pewnością. Dla przykładu, występujące tam stanowiska zlokalizowane są w strefie bardzo żyznych gleb aluwialnych tj. powstałych w wyniku powodzi. Dzięki badaniom rdzeni okazuje się, że w przeszłości, np. w neolicie, te gleby jeszcze nie istniały, bo nie było tam osadów powodziowych. Zostały naniesione, gdy rozpoczęło się odlesianie terenów wyżynnych. Następujący w efekcie wzmożony transport rzeczny powodował depozycje osadów w niższych częściach doliny, tworząc gleby obserwowane dziś.

Co decyduje, że badacie tu i teraz?

Wykorzystujemy cały szereg metod wyprzedzających, które pochodzą z różnych nauk. Ja specjalizuję się w badaniach magnetometrycznych, które pokazują na przykład zasięg stanowiska archeologicznego. Robimy też rekonesanse, obserwując osady powierzchniowe i określając procesy mogące zachodzić w przeszłości. Używamy tomografii elektrooporowej, która pozwala nam lepiej zlokalizować wiercenia – ustalamy np. najlepsze miejsce do pobrania osadów dawnego koryta rzecznej, którego nie widać na powierzchni. Tego typu obiekty możemy znajdować nawet na kilkudziesięciu metrach pod powierzchnią terenu. Przykładowo, w Grecji mamy do czynienia ze stanowiskami pod osadami powodziowymi, które zalegają na 10 m głębokości i mają około 8 tys. lat! Zwykłymi metodami nie byłibyśmy w stanie ich zlokalizować. To zarazem świetna przystopka, jak i praca naukowa, bo pozwala łączyć pracę w bibliotece i za biurkiem z niezwykle trudną i wymagającą pracą w terenie. Czasem czujemy się jak na platformie wiertniczej!

Co teraz?

Bruszczewo i realizacja projektu. To unikatowe stanowisko z wczesnej epoki brązu. Pobierzemy 13 rdzeni, aby powiązać to, co działo się z istniejącym tu zbiornikiem wodnym (obecnie równina torfowa) i znajdującą się na cyplu osadą obronną. Jak na razie skłaniamy się ku twierdzeniu, że ludzie opuścili ten teren w wyniku pogorszenia się warunków hydrologicznych w jeziorze. A potem Grecja!

Myślę, więc jestem...

Z **Olga Żyminkowską**,

laureatką Stypendium im. dr. Jana Kulczyka,

rozmawia **Magda Ziółtek**.

W jednym z wcześniejszych wywiadów powiedziała pani: „Myślę, że zainteresowanie filozofią jest konieczną konsekwencją pewnego typu wrażliwości poznawczej, której istotą jest ciągle subiektywne poczucie nieoczywistości i wątplenia” – czy ten typ wrażliwości nadal pani towarzyszy?

Pierwszy raz widzę cytat z samej siebie! Chyba usunęłabym z niego teraz słowo „konieczna”. Studiowanie filozofii uczy jednak większej precyzji języka. Rozwija ono także subiektywne poczucie nieoczywistości i wątplenia, czego wyrazem byłaby propozycja zamiany koniecznej konsekwencji na możliwą. Jedną z ważniejszych nauk płynących z badania historii filozofii jest właśnie nabycie afirmacji nieoczywistości. Czy ona mi towarzyszy? Chyba tak, ale niezbyt łatwo się z nią żyje.

Jeśli filozofowanie jest pewną naturalną dyspozycją umysłu, to co robić, aby jej nie zatracić? Czym karmić tę wrażliwość? Czy nasza rzeczywistość na poły wirtualna – dająca szybki dostęp do odpowiedzi na większość nurtujących nas pytań – nie zabija tej wrażliwości?

Wydała mi się, że filozofowanie jako dyspozycja umysłu nie ma jednak statusu cechy natywnej. Możliwe, że ta dyspozycja jest zawarta w samej strukturze języka, a dokładniej: w samej zdolności do negacji. „Neinsagenkönnen” czyli ten, który potrafi powiedzieć „nie”.

Mniej zajmuje mnie sama korespondencja typu „śnieg jest biały wtedy i tylko wtedy, gdy śnieg jest biały”. Bardziej interesuje mnie badanie samej możliwości, że śnieg może nie być biały. W tym miejscu przypomina mi się fragment z „Człowieka bez właściwości” Musila, w którym mówi się o poczuciu ewentualności: „Kto je ma, nie mówi (...) nigdy: to czy tamto się stało, stanie albo musi się stać, a jedynie zakłada, że coś mogłoby, miałoby albo musiałoby się stać. A kiedy się takiemu człowiekowi o czymś mówi, że to tak jest, jak jest, wtedy on myśli sobie, że prawdopodobnie mogłoby być również inaczej”. Wydaje mi się, że to poczucie ewentualności może być tropem w kierunku rozważań nad genezą filozofii i sztuki. Zdaje się, że pierwotnym doświadczeniem, fundującym obie te dziedziny ludzkiej twórczości, jest zastąpienie stabilnego i oczywistego obrazu świata taką wizją rzeczywistości, która jawi się jako coś nieoczywistego. Aby karmić tę wrażliwość filozoficzną można zawsze czytać Musila, Szestowa, Kunderę, Plotyna... Nie chodzi już bowiem o to, co się czyta, ale z jakim nastawieniem. Tak samo jest ze sztuką awangardową. Mniej liczy się dzieło, a bardziej – rodzaj przeżycia duchowego.

Wydała mi się, że na poły wirtualna rzeczywistość ma podobnie eskapistyczny charakter co poczucie ewentualności (oraz filozofowanie). Filozof i artysta zawsze jest jedną nogą w realnym świecie, a drugą w kunderowskim gdzie-indziej.



FOT. ARCHIWUM OLGI ŻYMINKOWSKIEJ

W tym samym wywiadzie powiedziała pani, że będzie studiować filozofię i nie wyobraża sobie, aby było inaczej. Ostatecznie jednak jest pani studentką MISHu. Co taki tryb studiów daje? O jaki konteksty uzupełnia studia z zakresu filozofii?

Taki tryb studiów umożliwia kontakt z innymi pokrewnymi dziedzinami nauki. W moim przypadku są nimi literatura i sztuki wizualne. W przypadku studiowania filozofii nie trzeba chyba dowodzić zasadności poliperspektywicznego myślenia.

Czy studia przynoszą jakieś odkrycia, fascynacje? Czy rozwój zainteresowań poznawczych przebiega niezależnie od nich?

Studia przyniosły mi konkretyzację zainteresowań badawczych. Powoli zaczynają się krystalizować interesujące mnie problemy i plany dalszego rozwoju naukowego. Moje dotychczasowe publikacje oscylują wokół estetyki, a dokładniej: filozofii i literatury. Grant, który otrzymałam na I roku studiów, ukierunkował moją dalszą pracę. Dotyczył on filozofii powieści Milana Kundery na podstawie „Życie jest gdzie indziej”. Jak widać, od eskapizmu się zaczęło.

W jaki sposób stypendium pomoże pani w realizacji jej naukowych odkryć?

Mam nadzieję, że dzięki niemu będę mogła wzbogacić swój dorobek o inspirujące konferencje w Polsce i za granicą, wyjazdy naukowe, publikacje i naukę nowych języków obcych. Umożliwi mi ono także poszerzenie kontaktów z ludźmi różnych dyscyplin naukowych.

Na koniec chciałabym zapytać o przyszłość. Czy myśli pani o pracy na uczelni?

Z dużą nadzieją myślę o pracy na uczelni, o wydaniu swojej powieści-eseju, o nowych wyzwaniach artystycznych i naukowych, wyjazdach i grantach. To wszystko ma wymiar także osobisty!

Efekt języka obcego

Z Rafałem Jończykiem z Wydziału Anglistyki UAM,
stypendystą Ministra Nauki i Szkolnictwa Wyższego,
rozmawia Jagoda Haloszka.

FOT. JAGODA HALOSZKA

W swoich badaniach sprawdzasz, jak komunikacja emocjonalna wygląda u Polaków mieszkających na stałe w Wielkiej Brytanii na poziomie behawioralnym i neurofizjologicznym. Co pokazują wyniki tych badań?

Wykazałem, że kiedy komunikujemy emocje w języku drugim, szczególnie emocje negatywne, to nasz mózg interpretuje je w taki sposób, jak byłyby to bodźce neutralne. W konsekwencji, kiedy odbieramy bądź komunikujemy treści negatywne w języku drugim, nie odczuwamy pełni towarzyszących im odczuć fizjologicznych. To tak, jakby nasze ciało nie reagowało na negatywne, potencjalnie zagrażające nam, komunikaty językowe. Wyniki naszych badań są spójne z obserwacjami terapeutów pracujących w środowiskach dwujęzycznych. Okazuje się, że prowadzenie terapii w języku drugim pozwala pacjentowi zdystansować się od traumatycznych wspomnień, umożliwiając spojrzenie na nasze doświadczenia przez pewien emocjonalny filtr. Język ojczysty, natomiast otwiera szeroko drzwi do emocjonalnych doświadczeń i przeżyć, bez cenzury. Fascynujące jest zatem, że dobór języka sam w sobie może być skutecznym narzędziem terapeutycznym. Co ciekawe, w naszym ostatnim badaniu zaobserwowaliśmy, że taki filtr negatywnych emocji, jeśli funkcjonujemy w języku drugim, aktywny jest już na etapie antycypacji, tj. kiedy czujemy i przewidujemy, że może wydarzyć się coś złego, zanim faktycznie bodziec eksperymentalny zostanie zaprezentowany na ekranie. Studząc swój własny entuzjazm dodam jednak, że jest to temat bardzo złożony i na obecnym etapie badań nie możemy jeszcze generalizować.

Czy ta różnica w odbiorze emocji w języku pierwszym i drugim może mieć wpływ na proces podejmowania decyzji?

To niełatwe pytanie. Z jednej strony badania nad tzw. efektem języka obcego wykazują, że kiedy podejmujemy decyzję w języku drugim, jesteśmy bardziej racjonalni, a nasze decyzje bardziej praktyczne. Negatywne emocje związane z ryzykiem podjęcia danej decyzji finansowej lub moralnej, wydają się być stłumione w języku drugim, umożliwiając nam podjęcie decyzji na chłodno. Z drugiej strony, warto zwrócić uwagę na fakt, że w większości z tych badań uczestnicy nie podejmują decyzji

w sposób w pełni spontaniczny, a postawieni są przed konkretnym wyborem. Na przykład, czy zmienić tor pędzącego wagonika tak, by ocalić pięciu pracujących na torze robotników, przyczyniając się tym samym do śmierci jednego robotnika pracującego na sąsiednim torze, czy wstrzymać się od zmiany toru, co spowoduje śmierć pięciu robotników? To tzw. dylemat wagonika. Funkcjonując w języku drugim, uczestnicy częściej decydują się na ocalenie pięciu robotników, tym samym poświęcając życie jednego robotnika. Jednak odnosząc wyniki tych badań do rzeczywistości, musimy pamiętać, że w życiu codziennym nasze decyzje często wykraczają poza schemat zerojedynkowy, a potencjalne rozwiązania nasuwają się (lub nie!) same i nie są nam narzucane.

Jak dwujęzyczność wpływa na kreatywność?

To jeszcze trudno stwierdzić. Są oczywiście badania, które wykazują, że osoby dwujęzyczne mogą wykazywać się większą kreatywnością niż osoby jednojęzyczne. Może wynikać to z faktu, że w umyśle osoby dwujęzycznej oba języki są w pewnym stopniu cały czas aktywne, umożliwiając spontaniczne budowanie nowych połączeń myślowych i skojarzeń. Często myślimy, że kreatywność to tworzenie czegoś nowego z niczego. To nieprawda. Bardziej przypomina to recykling istniejących już idei, poprzez tworzenie nowych powiązań i skojarzeń pomiędzy już istniejącymi ideami, myślami, wspomnieniami. Ten właśnie recykling może być po prostu bardziej efektywny w umyśle osoby dwujęzycznej. Przyszłe badania zweryfikują tą hipotezę.

Twoją odskocznią od pracy naukowej jest muzyka.

Grą na gitarze zaraził mnie mój wujek, a moim niedoścignionym wzorem był zawsze Mark Knopfler – gitarzysta i lider nieistniejącej już formacji Dire Straits. Wraz z moim poprzednim zespołem Elephant's Escape zagraliśmy wiele koncertów, nagraliśmy EP-kę i przeżyliśmy fajne muzyczne chwile: wystąpiliśmy w Must Be The Music, graliśmy też na małej scenie Rawy Blues w katowickim Spodku. Obecnie jestem gitarzystą w nowej formacji o nazwie N400. Gramy instrumentalnie, łącząc rock i elektronikę.

Oprogramowanie dla lasu

Geograf **dr Jakub Nowosad** zawodowo zajmuje się szukaniem najprostszych i najwydajniejszych sposobów opisania, a także zrozumienia zależności między elementami środowiska. Jego badania mogą pomóc skuteczniej przeciwdziałać wylesianiu, zjawisku szkodliwemu dla planety.



FOT. ARCHIWUM JAKUBA NOWOSADA

W przyrodzie występuje ogrom różnych systemów. Weźmy jeden z nich – gleby. Ich rodzaje zależą od wielu czynników: budowy geologicznej, ukształtowania terenu, klimatu. Wpływają one na rośliny oraz zwierzęta, istotne znaczenie ma tu również działalność człowieka.

– Zarejestrowanie, opisanie i zrozumienie złożonych relacji w skali globalnej jest wymagającym zadaniem. W tym celu wspomagamy się danymi pozyskanymi zdalnie, np. z czujników zamontowanych na sztucznych satelitach oraz algorytmami i programami komputerowymi, które pozwalają nam te dane przetworzyć i pozyskać z nich konkretne informacje – wyjaśnia laureat stypendium MNiSW.

Badacz opracowuje nowe metody, które pozwalają określić wzory przestrzenne występujące w danych satelitarnych. W ten sposób można np. znaleźć obszary o właściwościach podobnych do terenu, który znamy albo określić fragmentację lasu w wybranym regionie.

Oprogramowanie tworzone przez poznańskiego geografa wykorzystują naukowcy z całego świata po to, by szerzej rozumieć wzory, a co za tym idzie, procesy przestrzenne w środowisku. Wyniki tych badań mogą być przydatne do opisania zmian środowiskowych oraz zrozumienia złożoności wzajemnych oddziaływań i wpływu człowieka na środowisko.

Dr Nowosad w zeszłym roku wydał książkę „Geocomputation with R”, która w przystępny sposób pokazuje, jak można analizować dane przestrzenne, używając języka programowania R. Na potrzeby zajęć dydaktycznych przygotował też dwa ogólnodostępne skrypty akademickie. – Uważam, że we współczesnym świecie znajomość narzędzi analizy danych jest nadal niedoceniana. Gdyby było więcej osób mających tego typu umiejętności, pozwoliłoby to na podejmowanie lepszych decyzji, opartych o bogate dane, zarówno w kwestiach biznesowych, społecznych, przyrodniczych czy administracyjnych.

Naukowiec stawia na interdyscyplinarność. Adaptuje wiedzę z teorii informacji (matematyka), statystyki oraz informatyki do rozwiązywania problemów przyrodniczych, ekologicznych czy analizy krajobrazu. – Łączenie tych wielu, często znacznie różniących się podejść, pozwala z jednej strony na upraszczanie istniejących miar i metod, a z drugiej na odnajdywanie wcześniej nieznanymi zależności i relacji – podkreśla naukowiec.

W jednym z projektów udało się np. określić globalne zmiany pokrycia terenu pomiędzy 1992 a 2015 rokiem. Zmiany dotyczyły około 1/5 lądowej powierzchni Ziemi. Wyniki pokazały wyraźnie, jak wielki wpływ ma bezpośrednia i pośrednia działalność człowieka na naszą planetę.

W kolejnym projekcie badacz nie tylko odkrył, że większość krajobrazów, zarówno naturalnych, jak i zmienionych przez człowieka, dąży do całkowitego zagarnięcia przez jeden rodzaj pokrycia terenu (np. las, pustynię, obszar zabudowany, czy obszar rolniczy), ale też określił tempo możliwych zmian. Przykładowo, proces przekształcania obszaru całkowicie pokrytego lasem na całkowicie wykorzystywany rolniczo z początku przebiega wolno, ale gdy udział lasu spada poniżej 50% to wówczas całkowite jego wycięcie następuje bardzo szybko.

– Ten wynik ma swoje konsekwencje dla optymalnych działań związanych z ochroną przyrody: jeżeli chcemy przeciwdziałać wylesianiu, konieczne jest działanie przed osiągnięciem tego krytycznego progu – komentuje dr Nowosad.

Geograf uczestniczył w powstaniu EPI, czyli Environmental Performance Index (wskaźnik efektywności środowiskowej), który niedawno został opublikowany. EPI to oparte na danych podsumowanie stanu zrównoważonego rozwoju na całym świecie. Wskaźnik ten został opracowany przez Uniwersytet Yale oraz Uniwersytet Columbia przy współpracy z naukowcami z innych jednostek. – Mój udział w tym projekcie polegał na określeniu zmian pokrycia obszarów trawiastych i terenów podmokłych dla 180 krajów w ciągu ostatnich 25 lat – mówi dr Nowosad.

Dr Nowosad bardzo lubi swoją pracę i bywa, że trudno mu oddzielić czas wolny od pracy. – W moich codziennych zmaganiach wspiera mnie żona Jagoda i pies Boni. Staram się więc dbać o to, aby mieć czas na rozmowę czy spacer z nimi. Dodatkowo, od kiedy pamiętam, interesowałem się światowym kinem – mówi dr Nowosad – Lubię oglądać różne filmy i z zainteresowaniem śledzę dokonania różnych reżyserów, scenarzystów czy operatorów filmowych. Szczególne upodobanie mam do filmów z lat 40. i 50. ubiegłego wieku, w tym dzieł Hitchcocka, Powella i Pressburgera, Wildera, Langa, Mankiewicza i innych. Z przyjemnością oglądam też mecze angielskiej ligi piłki nożnej czy słucham muzyki i podcastów.

Ewa Konarzewska-Michalak

W ogrodzie „złotego wieku”

Aleksandra Wieczorkiewicz,

laureatka Stypendium im. dr. Jana Kulczyka
przełożyła „Piotrusia Pana” z wielkiego
zachwytu dla tekstu oraz dlatego,
by to nieco zapomniane arcydzieło
przypomnieć polskim czytelnikom.



FOT. ZOFIA GÓRA

Aleksandra Wieczorkiewicz, doktorantka na Wydziale Filologii Polskiej i Klasycznej pasjonuje się przekładem. Młoda naukowczyni, laureatka Stypendium im. dr. Jana Kulczyka jest już doświadczoną tłumaczką. W 2018 roku wydawnictwo Media Rodzina w serii „Klasyka w nowych szatach” wydała jej przekład „Piotrusia Pana w Ogrodach Kensingtonskich” Jamesa Matthew Barriego z pięknymi ilustracjami polskiego artysty Marcina Minora. W tym samym roku ukazała się też jej pierwsza monografia naukowa poświęcona tej książce.

Tłumaczka przełożyła „Piotrusia Pana w Ogrodach Kensingtonskich” z wielkiego zachwytu dla tekstu oraz dlatego, by to nieco zapomniane arcydzieło przypomnieć polskim czytelnikom. – Często dzieje się tak, że utwór nas fascynuje i zachwyca, a przekład jest swego rodzaju odpowiedzią na to wołanie: przekłady poprzednie – ich jakość, wierność (lub niewierność), blaski i cienie, błędy i mocne strony – schodzą wtedy na dalszy plan, a przynajmniej nie stanowią głównej motywacji tłumaczenia – wyjaśnia doktorantka.

Z innych pobudek tłumaczka zainteresowała się powieścią „Back of the North Wind” George’a MacDonalda, szkockiego pisarza epoki wiktoriańskiej, zdecydowanie mniej znanego w Polsce. Pozycję tę przełożyła w latach 50. kanoniczna tłumaczka literatury dziecięcej, Irena Tuwim, która odeszła od realiów i stylu oryginału, dostosowując tekst do rodzimych konwencji. – Wydaje mi się, że w przypadku powieści tak niezwykłej, ciekawej i – chyba niesłusznie – zapomnianej polscy czytelnicy zasługują na przekład nieco odmienny, oddający jej angielski charakter i klimat. – twierdzi.

Obecnie Aleksandra Wieczorkiewicz realizuje grant finansowany przez NCN w ramach konkursu ETIUDA 7. Celem projektu jest analiza oraz opis polskiej recepcji przekładowej dzieł trojga pisarzy – Jamesa M. Barriego, George’a MacDonalda oraz Cicely Mary Barker na tle nieopracowanej dotąd polskiej historii tłumaczeń tekstów należących do anglojęzycznej klasyki dziecięcej „złotego wieku”. Doktorantka jednocześnie pracuje nad przekładem utworów – wspomnianej powieści „At the Back of the North Wind” MacDonalda, „Peter Pan and Wendy” Barriego oraz „The Lord of the Rushie River Barker”.

– W polskim dyskursie literaturoznawczym i przekładoznawczym wciąż brakuje opracowań dotyczących „złotego wieku”. – wyjaśnia Aleksandra Wieczorkiewicz – A przecież jest to epoka niezwykła, czas narodzin dziecięcej klasyki, wyjątkowe osiem-

dziesięciolecie, w którym pod piórami twórców powstawały Krainy Czarów, Tajemnicze Ogrody, Nibylandie i Szmaragdowe Miasta. Ta literatura nie tylko zyskała sławę i zajęła wyjątkowe miejsce w kanonie – miała też niebagatelny wpływ na naszą rodzimą twórczość dla młodych czytelników.

Warto wspomnieć, że Aleksandra Wieczorkiewicz odbyła staż naukowy w Centre for International Research in Childhood: Literature, Culture, Media na University of Reading w Wielkiej Brytanii, a także wzięła udział w szkole letniej poświęconej klasycie literatury dziecięcej na Uniwersytecie w Antwerpii.

Doktorantka lubi dzielić się pasją przekładową i miłością do literatury dziecięcej z innymi. – Okazję do tego daje mi przede wszystkim dydaktyka akademicka – od kilku lat prowadzę zajęcia warsztatowe dla przyszłych tłumaczy i tłumaczek literackich oraz cykl autorskich zajęć poświęconych angielskiej literaturze dziecięcej w tłumaczeniu. Pasji sprzyja też działalność w dwóch kołach naukowych WFPIK – Kole Sztuki dla Dzieci „Na Wysokiej Górze” oraz Naukowym Kole Przekładowym „Przekładnia” – pierwszego jestem współzałożycielką i współopiekunką, zaś w drugim działam już od dziewięciu lat, od jakiegoś czasu na stanowisku jego przewodniczącej – powiedziała młoda naukowczyni.

W czasie wolnym tłumaczka dużo czyta, tym razem wyłącznie dla czystej przyjemności. – Na półce tak zwanych lektur bieżących stoją w zgodnym ładzie i nieładzie „Klub Pickwicka” Dickensa, „Młyn nad Flossą” Eliot, „Pinokio” Collodiego, „List do króla” holenderskiej pisarki Tonke Dragt, „Ziemiomorze” Le Guin, „Old Surehand” Maya oraz przeżabawna trylogia Geralda Durrella opowiadająca o jego szalonym dzieciństwie na Korfu. Uwielbiam czytać te same książki ponownie – podkreśla – nawet wiele razy – niezmiennie raduje mnie to, że wracam do znanego mi świata i wędruję po tych samych wyobraźniowych krajobrazach.

Aleksandra Wieczorkiewicz z chęcią wyrusza również na piesze wędrowki z plecakiem. Ma na koncie wyprawy przez Galicję do Santiago de Compostela, stopem po Irlandii, od Klifów Moheru aż do Dublina, przez szkockie Góry Kaledońskie, a raz szlakiem West Highland Way.

Dla odmiany lubi pracować w ogrodzie. – Marzy mi się przepiękny ogród w iście angielskim stylu, pełen własnoręcznie wyhodowanych róż i starych, niemodnych odmian kwiatów – mówi – Prawdziwy Tajemniczy Ogród – ale cóż, do niego jeszcze trochę mi brakuje.

Ewa Konarzewska-Michalak



FOT. ADRIAN WYKROTA

Chwycić byka za rogi

Włodzimierz Czepa z Wydziału Chemii to kolejny młody badacz z „naukowego skarbca” prof. Violetty Patroniak, który został wyróżniony Stypendium Miasta Poznania.

W uzasadnieniu czytamy, że wyróżnienie otrzymał za wybitne osiągnięcia w dziedzinie nowoczesnych materiałów funkcjonalnych opartych na grafenie oraz wykorzystanie otrzymanych materiałów hybrydowych jako adsorbentów, sensorów oraz materiałów do przetwarzania i przechowywania energii.

Przygoda młodego stypendysty z nauką zaczęła się w 2012 roku. Już po pierwszym semestrze, gdy padła propozycja ze strony dr Marty Fik-Jaskółki, trafił do Zakładu Syntezy Nanostruktur Funkcjonalnych do grupy badawczej prof. Violetty Patroniak. – Stwierdziłem, że jeśli chcę zaistnieć w świecie nauki to nie mogę zwlekać – mówi Włodzimierz Czepa – To tam poznałem podstawy chemii kompleksów oraz syntezę „gigantów” organicznych. Tak zaczęła się moja przygoda. To pani profesor zawdzięczam fakt, że brałem udział w wielu konferencjach naukowych jako laureat grantu MNiSW „Najlepsi z najlepszych”. Także to, że odbyłem staż w Strasburgu i trafiłem do grupy prof. Paolo Samorì pod opiekę naukową prof. Artura Ciesielskiego, laureata statuetki „Wybitnego Polaka we Francji” w kategorii Nauka. Pracuje on w laboratorium ISIS w Strasburgu i jest profesorem wizytującym UAM. To on będzie promotorem mojej pracy doktorskiej.

Spotkanie z wybitnym naukowcem zaowocowało jeszcze większym zainteresowaniem młodego badacza grafenem i materiałami dwuwymiarowymi. – Myślę, że w kwestii badań nad grafenem powiedziano i napisano już bardzo dużo, ale sporo jeszcze przed nami – uważa stypendysta z UAM – Obecnie Konsorcjum Graphene Flagship, które jest sztandarowym projektem europejskim w tej dziedzinie, wciąż inwestuje w grafen oraz inne materiały dwuwymiarowe, ale coraz bardziej skupia się na wdrożeniach. I to jest przyszłość. W zespole, w którym pracuję, skupiamy się na badaniach podstawowych, bazujących na grafenie i jego modyfikacjach. Na nadaniu mu nowych, ciekawszych i – co ważniejsze – aplikacyjnych właściwości. Jedną z form naszej działalności jest praca nad tlenkiem grafenu, posiadającym liczne grupy funkcyjne, które jesteśmy w stanie modyfikować przy pomocy prostych reakcji organicznych.

Stypendium, które otrzymał Włodzimierz Czepa, zostało przyznane za syntezę nowych materiałów oraz ich zastosowania w trzech dziedzinach: ekologii, zdrowia i energii. Zaczniemy od ekologii. Wiadomo nie od dziś, że aby woda była zdatna do picia, musi być oczyszczona z zanieczyszczeń biologicznych

i chemicznych. I tu znakomicie może sprawdzić się modyfikowany tlenek grafenu ze względu na to, że posiada bardzo dużą powierzchnię właściwą oraz liczne grupy, które mogą wiązać zanieczyszczenia. Zespół, do którego należy Włodzimierz Czepa, prowadził badania i modyfikował tlenek grafenu, szukając materiału o polepszonych właściwościach adsorpcyjnych i zwracając uwagę, aby zaprojektowany materiał wykazywał zdolność do regeneracji oraz powtórnego użycia. Ma to kluczowe znaczenie przy oczyszczaniu wody, gdyż zmniejsza koszty zużycia i produkcji. Jest rozwiązaniem ekologicznym.

Jeśli chodzi o ochronę zdrowia w badaniach poznańskich naukowców, to tutaj skupiają się oni na sensorach jonów i specyficznych cząsteczek organicznych. Włodzimierz Czepa wraz ze współpracownikami prowadził syntezę związków i modyfikował grafen w taki sposób, abyśmy byli w stanie z dużą precyzją wykryć dany analit np. jony potasu, dzięki wprowadzeniu eterów koronowych. Wszystko na poziomie podstawowym. Badania mają ciąg dalszy w grupie badawczej w Strasburgu, ich wyniki będą służyć medycynie przez ulepszenie skuteczności i dokładności badań medycznych.

Trzeci nagrodzony segment badań związanych z grafenem, to materiały do przetwarzania i przechowywania energii. – Będąc na stażu w Strasburgu miałem możliwość poznania podstaw procesów elektrochemicznych, przygotowania elektrod do superkondensatorów i tego, jak je wstępnie badać w roztworze – mówi Włodzimierz Czepa – a obecnie jestem kierownikiem projektu Preludium, który ma na celu stworzenie trójwymiarowych struktur opartych na tlenku grafenu. Modyfikuje się go odpowiednimi polimerami w celu wzbogacenia pojemności danego materiału, tak byśmy mogli w nim skumulować jeszcze więcej energii i zaproponować bardziej wydajne kondensatory. – Wiem jedno – dodaje – Ciągłe się uczę, ale wiem też, że jest sporo pracy przede mną, aby w pełni pojąć pełny potencjał grafenu i materiałów dwuwymiarowych – stypendium jest dla mnie dodatkową motywacją.

Dzisiaj przed młodym badaczem jeszcze jedno wyzwanie. W marcu, a dokładnie w dniu, w którym rektor informował o zamknięciu uczelni, urodził mu się syn. Młody Oliwier rośnie jak na drożdżach na chwałę rodziców i UAM. Włodzimierz Czepa czasu wolnego ma niewiele, a jeśli już go znajdzie, to poświęca go na spacer z rodziną albo gry planszowe. Od telewizji stroni. Woli czytać literaturę naukową.

Krzysztof Smura

Godzić socjologię z pedagogiką

Agnieszka Nymś-Górna jest laureatką Stypendium im. dr. Jana Kulczyka. Doktorantka przygotowuje równolegle dwie rozprawy doktorskie. Jedną z socjologii, a drugą z pedagogiki. Z Agnieszką Nymś-Górną rozmawia Jagoda Haloszka.

FOT. JAGODA HALOSZKA



Jak udaje się pani pogodzić robienie dwóch doktoratów?

Wydaje mi się, że to kwestia organizacji czasu. Nie mam indywidualnego toku studiów, więc realizuję jednocześnie dwa kierunki studiów doktoranckich. Przedmioty się nie pokrywają, dydaktykę również realizuję niezależnie. Dla mnie jest to jednak sytuacja „in plus”, ponieważ mogę doskonalić swoje kompetencje na wielu polach. Przez cztery lata, jak dotąd, nie miałam ani razu sytuacji, że musiałam z czegoś zrezygnować, bo drugi doktorat z czymś kolidował.

Pierwszy doktorat dotyczy relacji między rodzeństwem na etapie wczesnej dorosłości. Czy rodzice mogą mieć wpływ na powstanie trwałej bliskości dorosłego rodzeństwa?

Jak najbardziej. Rodzice odgrywają bardzo ważną rolę, zwłaszcza w aspekcie socjalizacyjnym. To, w jaki sposób relacja jest kształtowana na wczesnym etapie życia, rzutuje na funkcjonowanie relacji w dorosłym życiu. Oczywiście w dorosłości rodzeństwo w dużej mierze samodzielnie decyduje o intensywności i zażyłości relacji, ale widoczna była także siła wpajanych od dzieciństwa wartości rodzinnych.

Czy to nie jest tak, że brat i siostra winni być sobie bliscy „z urzędu”?

Rodzice często powtarzają „to jest twoja siostra, twój brat – musisz go kochać”, ale w tym momencie możemy zacząć się zastanawiać: dlaczego muszę go kochać? Nie można kogoś zmusić do uczuć, a w tym przypadku miłość jest narzucana z zewnątrz. Rodzaj relacji jest zadekretowany: ze względu na fakt, że jesteśmy rodziną, powinniśmy się kochać i wspierać. W rzeczywistości nie zawsze relacje pomiędzy rodzeństwem układają się tak, jak rodzice sobie tego życzą. Czasem dzieci są swoimi przeciwnościami, potrzebują czasu na zorganizowanie swoich relacji, a temu procesowi cały czas towarzyszy nacisk rodziców. Na późniejszym etapie, kiedy już dorosłe dzieci wyprowadzają się z domu rodzinnego, znów rodzice mogą ingerować w relacje pomiędzy rodzeństwem. Pojawiają się komentarze, że „dawno nie byłeś u brata czy siostry”, „może odwiedziś rodzeństwo”. To, że ta druga osoba ma za sobą cały tydzień ciężkiej pracy i potrzebuje odpoczynku, staje się mniej istotne. Rodzice czasami bardziej antagonizują niż spajają relacje pomiędzy rodzeństwem.

Przejdźmy do drugiego doktoratu, który dotyczy więźniów z niepełnosprawnością ruchową w zakładach karnych. Odnośnie wrażenie, że w Polsce cały czas żyjemy w przeświadczeniu, że osoba z niepełnosprawnością raczej nie może skrzywdzić drugiej osoby.

Oczywiście! Sama się również zdziwiłam, że osoby niepełnosprawne popełniają przestępstwa i to tak różne. Nie tylko finansowe, ale także zabójstwa czy kradzieże. W takich sytuacjach w opinii społecznej jest przekonanie, że skoro osoba z niepełnosprawnością potrafiła popełnić przestępstwo, to powinna też odbyć karę. Jednak człowiek zostaje pozbawiony za dany czyn wolności, ale nie godności, więc system penitencjarny jest zobowiązany zapewnić tym osobom odpowiednie warunki odbywania kary.

Ale czy polskie więzienia są przygotowane do przyjmowania takich osób?

Istnieje katalog zakładów karnych i aresztów śledczych, do których powinny trafiać osoby z niepełnosprawnością fizyczną. Przygotowane są także specjalne cele dla tych osób, ale nie ma ich tyle, aby starczyło dla wszystkich. Nie wszystkie osoby z niepełnosprawnością chcą być też tak traktowane; oczekują wówczas, że zostaną osadzone w ogólnych pawilonach mieszkalnych. Najtrudniejsza sytuacja jest wówczas, gdy do jednostki penitencjarnej trafiają osoby, które w wyniku popełnionego przestępstwa dopiero stają się osobami niepełnosprawnymi. Wówczas ich kondycja psychiczna w porównaniu z osobami z długotrwałą niepełnosprawnością jest bardziej skomplikowana.

Jak osoby, które są sprawne ruchowo, reagują w więzieniu na osoby z niepełnosprawnościami?

To zależy od jednostki penitencjarnej. Na podstawie moich badań mogłabym podzielić współwięźniów na trzy grupy: osoby negatywnie nastawione, obojętne oraz nastawione pomocowo. W jednostkach penitencjarnych wprowadzono instytucję opiekuna osoby z niepełnosprawnością lub tzw. osoby starszej, kiedy skazany kończy specjalistyczny kurs i może zajmować się konkretnym niepełnosprawnym więźniem. Osoba z niepełnosprawnością zyskuje wtedy wsparcie w codziennych sytuacjach, a opiekun, jeśli dobrze wypełnia swoją rolę, może liczyć na nagrody regulaminowe.



Prof. Maciej Kozak – Wydział Fizyki UAM

FOT. ADRIAN WYKROTA

SOLARIS — ZUPEŁNIE JAK SŁOŃCE

Jest jednym z kilkunastu w Europie, ale pierwszym w jej części środkowo-wschodniej.

Duma polskiej nauki i ziszczone marzenie pokoleń fizyków i chemików. Narodowe Centrum Promieniowania Synchrotronowego Solaris już niedługo otworzy kolejną linię badawczą – tym razem będzie to efekt współpracy naukowców z UAM.

Położone w Krakowie, działające w strukturach Uniwersytetu Jagiellońskiego, Narodowe Centrum Promieniowania Synchrotronowego Solaris powstało z inicjatywy naukowców z UJ oraz członków Polskiego Towarzystwa Promieniowania Synchrotronowego, jednak dostępne jest dla wszystkich zainteresowanych badaniami z użyciem światła synchrotronowego (www.synchrotron.uj.edu.pl). UAM należy do członków konsorcjum „Polski Synchrotron”, wspierającego pracę Centrum Solaris, a od niedawna budowana jest linia badawcza o wdzięcznej nazwie SOLCRYST, której idea wywodzi się ze środowiska poznańskiego. Koordynatorem projektu a także jednym z pomysłodawców jest prof. Maciej Kozak z Wydziału Fizyki UAM. To między innymi dzięki jego staraniom ruszyły właśnie pierwsze prace związane z budową i uruchomieniem tej linii.

Synchrotron

Mówiąc najprościej, synchrotron to urządzenie do otrzymywania promieniowania elektromagnetycznego dla celów badawczych. Synchrotron to akcelerator kołowy, którego sercem jest pierścień akumulacyjny. W nim w próżni krążą elektrony przyspieszane w polu magnetycznym do prędkości bliskich prędkości światła. Konstrukcja ta nie jest idealnie kolistą, w rzeczywistości jest to rodzaj wielokąta. W jego narożnikach

umieszczone są układy elektromagnesów zakrzywiających tor przyspieszanych elektronów, które wówczas emitują promieniowanie elektromagnetyczne, czyli światło. I to właśnie światło stanowi o unikalnym charakterze synchrotronu. Jego intensywność jest ogromna: gdyby użyć porównania, można powiedzieć, że jest ono miliony razy jaśniejsze od światła, które dociera na Ziemię ze Słońca. Promieniowanie synchrotronowe obejmuje szeroki zakres: od podczerwieni, przez światło widzialne i ultrafiolet aż do promieniowania rentgenowskiego – podobnie jak promieniowanie emitowane przez Słońce.

Wiązka promieniowania synchrotronowego pozwala badaczom zajrzeć w głąb materii. Dzięki niej można badać zarówno skład substancji, jak i jej strukturę. Synchrotrony pozwalają prowadzić eksperymenty znacznie szybciej i z większą precyzją niż gdyby były realizowane metodami laboratoryjnymi.

Urządzenia te to giganci wśród aparatury badawczej. Największy europejski synchrotron, PETRA III w Hamburgu, zajmuje tunel o obwodzie, bagatela, 2,3 km i przyspiesza elektrony do energii 6 GeV. Synchrotron Solaris, w którym elektrony uzyskują energię 1,5 GeV jest obecnie jednym z najnowocześniejszych, choć nie największym takim urządzeniem na świecie. Ma zaledwie 96 metrów obwodu i umieszczony jest w tunelu przykrytym 180 płytami betonowymi, chroniącymi przed promieniowaniem, z których każda waży od trzech do pięciu ton.

Historia

Historia starań o powstanie polskiego synchrotronu sięga lat 90-tych XX wieku. W Europie jest kilkanaście takich ośrodków, ale w naszej części Europy do tej pory nie było żadnego. Konstrukcja synchrotronu w Polsce, oprócz kwestii związanych z prestiżem, dawała możliwość dostosowania profilu badań do potrzeb polskich naukowców. Budowa ruszyła na początku 2010 roku. Koszt inwestycji wyniósł blisko 200 mln zł, a środki pochodziły głównie z Unii Europejskiej.

NCPS Solaris zostało otwarte w 2015 roku, a od 2018 roku udostępnia użytkownikom pierwsze dwie linie badawcze.

Jeśli wspomniany pierścień akumulacyjny jest sercem synchrotronu, to linie badawcze zlokalizowane wokół niego decydują o jego wykorzystaniu, bowiem tam prowadzone są badania. NCPS Solaris rozwija się: następne dwie linie badawcze zostaną wkrótce uruchomione, a cztery kolejne są w budowie.

Już na etapie budowy synchrotronu poznańskie środowisko naukowe zaproponowało konstrukcję linii do badań biostrukturalnych. Za jej powstaniem optowali wówczas prof. Mariusz Jaskólski z Wydziału Chemii UAM, prof. Maciej Kozak z Wydziału Fizyki UAM oraz prof. Wojciech Rypniewski z Instytutu Chemii Bioorganicznej PAN. Ówczesny rektor UAM prof. Bronisław Marciniak podpisał nawet umowę pomiędzy UJ i UAM o wspólne starania o fundusze na budowę nowej linii pomiarowej. Niestety, nie udało się wówczas pozyskać środków na ten cel. Szanse pojawiły się niespodziewanie w 2018 roku, gdy fundusze na budowę linii SOLCRYS, w oparciu o umowę z UJ, zaproponował Zjednoczony Instytut Badań Jądrowych w Dubnej, z którym od lat współpracuje również Wydział Fizyki UAM.

– Jedną z zalet naszej linii jest jej uniwersalność – mówi prof. Maciej Kozak. – Będzie można na niej prowadzić pomiary dyfrakcji i rozproszenia promieniowania na szerokiej gamie układów. Mogą to być zarówno makrocząsteczki, takie jak białka lub kwasy nukleinowe, jak i małe molekuly. Możliwości badań są bardzo szerokie: od układów biologicznych do takich o zastosowaniu *stricto* materiałowym. To, co stanowi o atrakcyjności tej linii, to badania krystalograficzne, które obecnie są intensywnie wykorzystywane przez przemysł farmaceutyczny.

Pierwsze pomiary w nowej linii badawczej planowane są na 2023 rok. Linia SOLCRYS mieć będzie ponad 47 metrów długości, dlatego równolegle przygotowywana jest rozbudowa hali eksperymentalnej. Czasu wymaga też odpowiednie zaprojektowanie układów pomiarowych. Obecnie prowadzone są symulacje numeryczne przebiegu promieniowania przez poszczególne elementy optyczne aparatury badawczej oraz konstruowany jest wiggler.

Linia SOLCRYS

Energia krakowskiego synchrotronu nie do końca wpisywała się w koncepcję nowej linii badawczej. Dlatego konieczne jest umieszczenie w pierścieniu synchrotronu Solaris tak zwanego urządzenia wstawkowego – wigglera nadprzewodzącego.

– Wiggler to urządzenie zbudowane z układu magnesów, które wymuszają okresowe odchylenie toru elektronów, co w konsekwencji powoduje emisję promieniowania o wyższej energii i intensywności. Innymi słowy, dzięki wigglerowi uzyskamy taki zakres energetyczny i intensywność promieniowania, jakie są nam potrzebne – tłumaczy prof. Kozak.

Linia składać się będzie z dwóch stacji badawczych. Pierwsza przeznaczona została dla krystalografii białek. Pozwoli na badania struktury białek, ich kompleksów, a nawet struktur wirusów. Warto podkreślić, że znajomość struktury białek pozwala

Pierwsze pomiary w nowej linii badawczej planowane są na 2023 rok. Linia SOLCRYS mieć będzie ponad 47 metrów długości, dlatego równolegle przygotowywana jest rozbudowa hali eksperymentalnej

projektować oddziałujące z nimi cząsteczki, w tym leki, czego najlepszym przykładem są leki antywirusowe stosowane w terapii HIV, które zaprojektowano dzięki poznaniu struktury białek tego wirusa. Badania prowadzone na tej stacji pozwolą również zrozumieć procesy zachodzące w białkach, np. badać mutacje, które towarzyszą powstawaniu gnębiących ludzkość chorób.

Drugi aspekt to badania ciśnieniowe – ściśle związane z chemią i fizyką materiałową oraz badania w temperaturach ciekłego helu. Te ostatnie, chociaż uchodzą za bardzo kosztowne, są niezwykle atrakcyjne dla badaczy.

Druga stacja badawcza prowadzić będzie badania z zakresu małokątowego rozpraszania promieniowania rentgenowskiego. Znajdą one zastosowanie zarówno w poznawaniu struktury układów biologicznych w roztworach jak i w charakterystyce nowych materiałów polimerowych czy ciekłokrystalicznych.

Praca na zmiany

Synchrotrony udostępniają użytkownikom czas pomiarowy w sposób ciągły, czyli w systemie 24/7. Poza planowanymi wyjątkami – gdy dwa razy w roku urządzenie jest wyłączane na czas konserwacji i modernizacji. To, co przemawia do wyobraźni młodych naukowców, to właśnie system zmianowy. Czas na pomiary może wypaść na późne godziny wieczorne lub noc. – Gotowi jesteśmy na model pracy trzymianowej – typowy dla wszystkich synchrotronów – mówi prof. Kozak – Użytkownikom synchrotronu przydzielany jest czas pomiarowy w tzw. szychtach, które trwają 8 godzin. Grupa badawcza, aplikując o dostęp do naszej linii, będzie miała przydzielaną jedną do trzech szycht. Oznacza to od 8 do nawet 24 godzin nieprzerwanych pomiarów. Spodziewamy się, że dzięki takiemu systemowi pracy uzyskamy optymalne wykorzystanie aparatury pomiarowej. W ciągu jednego dnia z badań na linii SOLCRYS skorzystać będą mogły nawet trzy grupy badawcze. Co więcej, planowane są również pomiary realizowane w trybie zdalnym, prowadzone za pośrednictwem Internetu na próbkach przesyłanych przez użytkowników.

Czas pomiarowy w synchrotronie przyznawany jest w konkursie. Konieczne jest złożenie aplikacji, w której zainteresowani przedstawiają zakres badań. O dostępie do aparatury decyduje panel naukowy. – Jeśli założymy, że mamy około 150 dni pomiarowych, to w przeliczeniu na każdą linię badawczą daje nam to nawet 450 szycht pomiarowych rocznie. Dodatkowo należy uwzględnić unikalne parametry urządzeń. Krakowski synchrotron oferuje najnowocześniejsze rozwiązania, co w przypadku linii SOLCRYS zapewne przełoży się na krótszy czas badań i jakość wyników. Wniosek nasuwa się sam. W godzinę często jesteśmy w stanie zebrać taką ilość danych, jaką w laboratorium trzeba by zbierać nawet przez kilka miesięcy – mówi prof. Kozak.

Magda Ziółek



FOT. ADRIAN WYKROTA

BEZ OWADÓW NIE MA ŻYCIA NA ZIEMI

– Jeśli ktoś twierdzi, że boleśnie ugryzła go biedronka azjatycka, to jest bardziej wrażliwy niż księżniczka na ziarnku grochu – z entomologiem **dr. Szymonem Konwerskim** z Wydziału Biologii UAM rozmawia Ewa Konarzewska-Michalak.

Spacerując po lesie widzę wiele owadów. Jak to jest – wymierają czy nie?

Wymieranie związane jest ze zmniejszaniem się różnorodności gatunkowej. Kiedyś było ich zdecydowanie więcej. Mówią o tym globalne podsumowania. Również z moich doświadczeń wynika, że w ciągu ostatnich dziesięcioleci ten proces przyspieszył. W dzieciństwie, kiedy mieszkaliśmy przy Wielkopolskim Parku Narodowym, widziałem codziennie dużo różnych gatunków motyli, ciem i chrząszczy. Pojawiały się w chmarach. Owady zawsze były obecne w otoczeniu, ale teraz jest ich znacznie mniej.

Czy jesteśmy w stanie żyć bez owadów?

Nie. Opierając się na analizach dotyczących ich znaczenia w ekosystemach lądowych i słodkowodnych wiemy, że bez owadów nie ma życia na Ziemi. Żadne z wielkich wymierań w historii życia nie wpłynęło znacząco na istotność owadów w ekosystemach lądowych. W przypadku wymarcia kręgowców zmiany byłyby stosunkowo niewielkie, ale gdy zabraknie owadów, to rozpadną się wszystkie ekosystemy, które znamy.

Przyrodnicy alarmują – owady wymierają w zastraszającym tempie – osiem razy szybciej niż kręgowce. W takim tempie insekty znikną z powierzchni Ziemi w ciągu stu lat. Czekamy katastrofę, bo te małe zwierzęta są głównym składnikiem „gobelinu życia”. Oznacza to, że stanowią podstawę zwierzęcą większości ekosystemów lądowych i słodkowodnych od 400 mln lat! Do tej pory opisano milion gatunków owadów, ale tak naprawdę jest ich znacznie więcej, szacuje się od 5 do nawet 30 milionów. Bez tej „mniejszej większości” albo „niewidocznej różnorodności” świat, który znamy nie mógłby funkcjonować.

Warto o tym pamiętać, gdy mucha męczy nas od samego rana i myślimy, jak byłoby fajnie, gdyby owadów wcale nie było.

Co prowadzi do utraty różnorodności gatunków?

Powody są oczywiste. Rozbudowywanie aglomeracji, likwidacja naturalnych i różnorodnych środowisk – od torfowisk po lasy o charakterze pierwotnym – ale też to, co robimy z najbliższym otoczeniem. Zobaczmy, ile wokół nas jest ogródków przerobionych na kawałek pola

golfowego. Idealnie wystrzyżony trawnik z punktu widzenia bioróżnorodności jest sterylizacją ogrodniczą, owad nie ma tam czego szukać. Teraz na szczęście bardziej promuje się murawy z kwitnącymi kwiatami, które są miejscami dogodnymi dla owadów zapylających.

Drugi powód to chemizacja. Z przykrością obserwuję, że nawet w małych ogródkach zamiast wrywać chwasty stosuje się środki chemiczne. Piękne kwiaty zawsze przyciągną owady, które będą chciały je skubnąć, ale stosując insektycydy, które rzadko kiedy są tak wybiórcze, żeby szkodziły tylko jednemu gatunkowi, zabijamy całą resztę, a przy okazji szkodzimy również sobie.

W mieście będzie mnóstwo owadów, ale tylko tych, które przystosowały się do betonowej pustyni. Dlatego parki śródmiejskie mają do spełnienia ważną rolę oaz bioróżnorodności. Taką funkcję spełnia np. Cytadela w Poznaniu, gdzie żyje imponująca liczba gatunków chrząszczy. Ale mamy też parki bardzo „zadbane” z betonem, skoszoną przy ziemi trawą i drzewami, które się „naprawia”, gdy pojawi się dziupla.

Dużym zagrożeniem są gatunki obce, sprowadzane przez człowieka, które zajmują nisze ekologiczne gatunków rodzimych. Tego się obawiamy np. przy inwazyjnej biedronce azjatyckiej. Jak to się stało, że występuje już niemal na całym świecie? Sprowadzono ją do Stanów Zjednoczonych, żeby zjadała mszyce w szklarniach, z nich trafiła do środowiska naturalnego. Kiedy Amerykanie zaczęli zwalczać dzikie populacje, w kilku państwach europejskich zaczęto hodować ją na ogromną skalę. Obce gatunki nie mają naturalnych wrogów i zanim ekosystem odpowie wykształceniem drapieżników i pasożytów mija bardzo dużo czasu. Wydaje się, że nie ma lepszej broni biologicznej niż napuścić gatunki z różnych stron świata na siebie. Niestety, jest to bardzo ryzykowne, bo jak coś raz wymknie się spod kontroli, to szansa na powrót do poprzedniego stanu w ekosystemie jest w zasadzie zerowa.

Zaznaczę przy tym, że niepotrzebnie straszy się, że biedronka azjatycka boleśnie gryzie. Co najwyżej delikatnie skubnie, podobnie jak nasza siedmiokropka, bo ma małe aparat gryzący. Jeśli ktoś twierdzi, że boleśnie ugryzła go biedronka to jest bardziej wrażliwy niż księżniczka na ziarnku grochu.

Wiemy, jakie ważne znaczenie dla człowieka mają pszczoły. W jaki inny sposób zależyśmy od owadów?

Zaakceptowaliśmy owady zapylające, bo rozumiemy, że bez nich będzie źle z szeroko rozumianym rolnictwem, ale korzyści jest o wiele więcej. Na przykład muchy, które należą do saprofagów, owadów odżywiających się i wykorzystujących martwą materię organiczną są odpowiedzialne za oczyszczanie otaczającego nas środowiska. Wystarczy sobie wyobrazić, co by było, gdyby tych owadów zabrakło. Rozkładające się szczątki poddawane bardzo wolnym procesom gnilnym zalegałyby w otoczeniu. Saprofagi działają błyskawicznie przetwarzając te resztki we własne ciała, co widać po czerwieni pojawiających się latem w śmietnikach. Warto docenić ich znaczenie dla środowiska i dla nas.

Owady są nie tylko podstawą diety bardzo dużej liczby zwierząt hodowlanych, ale również źródłem pokarmu dla ludzi. Ktoś wyliczył, że zjadamy około 500 gatunków. Głównie dotyczy to części Ameryki Środkowej i Ameryki Południowej. W tej chwili prowadzi się badania, które mają na celu opracowanie wykorzystywania owadów jako źródła białka w przemyśle spożywczym. Wiemy, że należy ograniczać hodowlę zwierząt ze względu na klimat, natomiast owady stosunkowo prosto się namnaża, ich białko jest doskonałej jakości, więc myślę, że to jest kwestia czasu, kiedy zaakceptujemy je w diecie, tak jak akceptujemy inne stawonogi – skorupiaki.

Trudno wymienić, ile rozwiązań technicznych bazujących na tym, co zaobserwowano u owadów wprowadzono w życie. Owady służą też często jako modele do różnego rodzaju badań np. genetycznych. Wykorzystuje się je w entomologii sądowej do szacowania czasu śmierci i określaniu, czy zwłoki zmieniały położenie. Owady to niewyczerpana skarbnica związków chemicznych stosowanych w medycynie. I pamiętajmy o pszczelarstwie praktykowanym od tysięcy lat i o jedwabniku morwowym, który nie występuje już w naturze, a tylko i wyłącznie w formie hodowlanej. To tylko niektóre korzyści, jakie dostarczają nam te zwierzęta.

Które grupy owadów najszybciej padają ofiarą szkodliwej działalności człowieka?

Najbardziej narażone są gatunki stenotopowe czyli te, które mają wąski zakres tolerancji, jeśli chodzi o środowisko, w którym żyją. To np. owady związane z torfowiskami, terenami zalewowymi, z konkretnym gatunkiem rośliny, która zanika. Wydawałoby się, że owady synantropijne żyjące z człowiekiem będą miały się świetnie. Tymczasem ginie grupa związana ze starym, drewnianym typem budownictwa. Należy do niej chrząszcz pokątnik złowieszczek, uwzględniony w „Polskiej czerwonej księdze zwierząt”. Zagrożone wyginieciem są też owady saproksyliczne, czyli związane rozwojowo z martwym drewnem. Gospodarka leśna, która długo nastawiona była wyłącznie na produkcję drewna, doprowadziła do tego, że w lasach jest coraz mniej drzew starych, obumierających i martwych, będących miejscem do życia dla ogromnej liczby owadów i innych organizmów. Lasy przez miliony lat gwarantowały im przetrwanie, póki człowiek nie zaczął zamieniać ich w plantacje.

Co możemy zrobić, żeby zatrzymać wymieranie owadów?

Owady można chronić wyłącznie poprzez ochronę środowisk i mikrośrodowisk, w których występują. Trzeba zaczynać lokalnie – od takich drobiazgów jak murawy, kwiaty na balkonie, ograniczenie chemizacji. Zauważmy, że coraz rzadziej widuje się masowo chrabąszcza majowego, co oznacza, że pędrakom trudno się rozwijać w chemicznie skażonych glebach. Z przyjemnością obserwuję za to, że montuje się hotele dla owadów. Dziesięć lat temu coś takiego nikomu do głowy by nie przyszło. Kto ma większy kawałek zielonego terenu albo zarządza parkiem wystarczy, że położy kłody, w których przez dziesięciolecia będą rozwijały się owady saproksyliczne. Globalna ochrona jest bardziej skomplikowana. W Europie powinniśmy za wszelką cenę chronić lasy o charakterze naturalnym, np. naszą Puszczę Białowieską. Największą różnorodność owadów występuje w lasach deszczowych, które są niszczone w potwornym tempie. Prawdopodobnie więcej gatunków ginie na skutek rabunkowej gospodarki niż naukowcy są w stanie opisać. To bardzo przykre, że nigdy się nawet nie dowiemy, co tracimy...

Jak polubić owady? Wielu ludzi boi się ich lub brzydzi.

Zmienić nastawienie ludzi do owadów wcale nie jest trudno. Sam od kilkudziesięciu lat staram się to robić, przekonując do nich dzieci, studentów, seniorów. U dzieci to jest super łatwe, zwykle na początku znajduje się grupka, która mówi, że nie chcą mieć z robakami do czynienia, a po zajęciach widać, że nigdy więcej niechętnie nie spojrzą na owady. Dlaczego nie lubimy tych małych sześcioramionków? Należałoby wyjść od polskiej nazwy – owady. Pochodzi ona od słowa wadzić, przeszkadzać. Człowiek widział w owadach konkurentów walczących o zasoby – zjadały zapasy, niszczyły plony, a do tego wysysały nam krew i żądliły. Warto pamiętać, że żyjemy w kraju, gdzie niewiele owadów może nam zrobić jakąkolwiek krzywdę. Owszem musimy pamiętać, że niektóre błonkówki mogą użądlić, ale prawie cała reszta jest zupełnie niegroźna i nieszkodliwa. Poznawanie tajemnic owadów w naszym najbliższym otoczeniu uczy szacunku dla życia we wszystkich jego przejawach.

Co dziwne, zwykle akceptujemy część z nich np. ważki, motyle dienne, natomiast mało jest bez litości tępiona, choć też jest motylem. Jak zaczniemy akceptować wszystkie owady to zrozumimy, że wszystkie są tak samo warte ochrony i podziwiania. Przede wszystkim należy pozbyć się strachu i podejrzliwości, pokazać ich ogromne znaczenie dla całej przyrody na Ziemi, a pośrednio dla nas.

DLA ŻYDÓW DRZWI BYŁY ZAMKNIĘTE

Z **prof. Piotrem Foreckim** z Wydziału Nauk Politycznych i Dziennikarstwa

rozmawia Magda Ziółtek.

W zespole badającym przedwojenny antysemityzm na Uniwersytecie Poznańskim zajmuje się pan organizacjami studenckimi, a konkretnie ich rolą w sianiu nienawiści i inspirowaniu antyżydowskich działań. Co to były za organizacje i czym się zajmowały?

Zacznijmy od tego, że w dwudziestolecie międzywojennym na uniwersytetach w całej Polsce funkcjonowało bardzo wiele rozmaitych organizacji, które tworzyli, i do których należeli studenci. To była istna mozaika, trafnie nazywana dziś „Rzeczpospolitą Akademicką”. Nie inaczej było na Uniwersytecie Poznańskim. Różny oczywiście był profil tych organizacji, sposób zarządzania, liczebność, statutowe cele działalności, zajmowana pozycja, a zwłaszcza posiadane wpływy. Wśród nich możemy wyróżnić organizacje samopomocowe, naukowe, towarzyskie, środowiskowe, ideowo-wychowawcze, sportowe, religijne czy artystyczne. Niewątpliwie studenci mieli w czym wybierać. Oczywiście z wyjątkiem młodzieży pochodzenia żydowskiego, bo dla Żydów do zdecydowanej większości z nich drzwi były zamknięte.

Czy to oznacza, że wszystkie te organizacje miały charakter antysemicki?

Lektura zgromadzonych w Archiwum UAM statutów korporacji akademickich i kół naukowych jest porażająca. Na Uniwersytecie Poznańskim funkcjonowało przed wojną około trzydziestu korporacji akademickich, a zatem studenckich organizacji towarzyskich o profilu ideowo-wychowawczym. W różnych latach ich liczba się wahała. Większość z nich czarno na białym odnotowała w swoich statutach, że osoby pochodzenia żydowskiego nie miały prawa członkostwa bez względu na wyznawaną religię. To był zwykły rasizm. Korporacje nie przyjmowały również kobiet, zaś ideowo - te poznańskie - hołdowały głównie nacjonalizmowi. Innymi słowy polonocentryzm, antysemityzm oraz seksizm składały się na korporancki etos. Jednakże studentów i studentek pochodzenia żydowskiego nie przyjmowano również do wielu kół naukowych na Uniwersytecie Poznańskim. Na przykład do Koła Leśników, Koła Przyrodników, Koła Chemików. Długo można wymieniać. W statucie Koła Polonistów UP zadbano wszak o feminatywę - „Członkami koła mogą być studenci(cki) i wolni słuchacze(czki) polonistyki U.P. z wyjątkiem osób pochodzenia żydowskiego”.

Czy cele i działalność wszystkich tych organizacji nosiła znamiona antysemityzmu?

Nie. Antysemityzm wpisany w program działania cechował przede wszystkim organizacje studenckie o charakterze ideowo-wychowawczym, które należały do szeroko rozumianego obozu narodowego. Ten natomiast ewoluował organizacyjnie i programowo. Bez wątpienia największy pod względem liczebności oraz siły oddziaływania był powstały w 1922 roku Związek Akademicki Młodzież Wszechpolska. Wydawane przez poznańskich wszechpolsaków ulotki, odezwy, manifesty etc. jednoznacznie pokazują, że antysemityzm stanowił sens istnienia tej formacji. Bez niego prawdopodobnie by się rozpadła. To właśnie Mło-

dzież Wszechpolska formułowała najbardziej dyskryminacyjne antyżydowskie postulaty wprowadzenia numerus clausus, getta ławkowego oraz numerus nullus. Dodatkowo wszechpolscy zwiększali swoje wpływy na Uniwersytecie Poznańskim poprzez opanowywanie innych organizacji studenckich. Przede wszystkim Bratniej Pomocy. Bardzo ważnej z perspektywy studentów organizacji samopomocowej odpowiedzialnej m.in. za przydział miejsc w akademikach, zapomogi i inne sprawy socjalne. Mając na uwadze na ogół kiepskie położenie materialne studentów, było to doprawdy świetne posunięcie. Przejmując kontrolę nad Bratnią Pomocą, Wszechpolsacy mogli kształtować zarówno byt, jak i świadomość. W antysemityzmie nie byli jednak osamotnieni. Po rozwiązaniu Obozu Wielkiej Polski w 1932-33 rozpoczął się proces dekompozycji ruchu narodowego, a na uniwersytetach zaczęły powstawać nowe organizacje, które aspirowały do przejęcia kontroli nad życiem młodzieży. Przy Uniwersytecie Poznańskim funkcjonowała m.in. Awangarda Młodego Ruchu Narodowego Stowarzyszenia Studentek i Studentów UP oraz Młodzież Narodowo-Radykalna. Trzeba jednak zaznaczyć, że w tej antysemitycznej rodzinie dochodziło do rozmaitych konfliktów.

Dlaczego środowiska studenckie były podatne na hasła antysemickie? Z dzisiejszej perspektywy trudno zrozumieć, że trafiały one do wyobraźni młodych ludzi – choćby te mówiące o spisku przeciw państwu polskiemu, chęci utworzenia Judeo-Polonii... Czy była to pochodna rosnących wówczas sympatii endeckich?

Pozwoli pani, że trochę przekornie odpowiem pytaniem na pytanie. A dlaczego studenci oraz studentki mieliby być impregnowani na antysemityzm? Czy w jakiejś części również dziś nie podzielają najbardziej kuriozalnych przekonań antysemickich, ksenofobicznych, homofobicznych czy seksistowskich? Czy fantazmatyczni Żydzi, uchodźcy, muzułmanie, mniejszości seksualne nie zamieszkują ich wyobraźni? To samo dotyczy zresztą kadry naukowej i dydaktycznej. Niewątpliwie jednak ufundowany na antysemityzmie etnonacjonalizm miał się w przedwojennej Polsce doskonale. Rozkwitał, infekował umysły, a radość z odzyskanej niepodległości dała asumpt do snucia fantazji o wyobrażonej wspólnocie Polaków-katolików, której Żydzi zagrażali samą swoją obecnością. Antysemickie klisze pozwalały wyjaśniać i opisywać otaczającą rzeczywistość. Przeciwno Ży-

*Lektura zgromadzonych w Archiwum UAM
statutów korporacji akademickich
i kół naukowych jest porażająca*



dom można było się konsolidować, w opozycji do Żydów budować własną tożsamość. Młodzi ludzie, w tym również studenci, nie tylko gremialnie zasilali struktury radykalizującego się w II RP obozu narodowego, ale decydowali o jego ideowym obliczu. Fala przemocy antyżydowskiej, której areną od początku lat 30. stały się także polskie uniwersytety, miała swoje źródła właśnie w tej radykalizacji obozu narodowego. Historyk Kamil Kijek słusznie zwraca uwagę, że zachodząca w skali całego kraju „rewolucja młodych” była skierowana głównie przeciwko Żydom, a dopiero w dalszej kolejności przeciwko sanacji sprawującej rządy autorytarne.

Czy to prawda, że to właśnie organizacje studenckie wymuszały na władzach UP wprowadzanie opresyjnych wobec Żydów zarządzeń? Dlaczego władze uczelni ulegali tym naciskom?

To smutna prawda, choć oczywiście nie wszystkie organizacje studenckie formułowały postulaty dyskryminujące Żydów. Niemniej jednak studenci, dążący na różne sposoby do wyeliminowania Żydów z uniwersytetu stanowili grupę nacisku, która znajdowała zdumiewający posłuch u władz uczelni. Dlaczego? W naszym zespole problemem tym szczegółowo zajmuje się prof. Maciej Michalski. Na pewno może więcej na ten temat powiedzieć. Moim zdaniem odpowiedzi na to pytanie można szukać w sympatiach politycznych władarzy uniwersytetu, panującym wówczas klimacie ideowym, ale także w oportunizmie i strachu. Powiedzmy to bowiem jasno – studenci domagający się realizacji swoich postulatów potrafili skutecznie destabilizować życie akademickie poprzez strajki, wiece, blokady, wszczynane burdy. Co wobec tej faszyzacji życia na UP najczęściej robili rektorzy? Zawieszali zajęcia. Nie tylko oni zresztą. Podobnie działo się na innych uniwersytetach w Polsce, gdzie studenci również skutecznie terroryzowali władze uczelni. Zawsze mogli przecież zagrozić sparalizowaniem przebiegu roku akademickiego, czego najwyraźniej się obawiano.

Czy w archiwach zachowały się dokumenty świadczące o tym, że wśród młodzieży studiującej na UP znalazły się osoby, które przeciwstawiły się tej fali antysemitickich działań? Czy zdarzały się akty solidarności ze studentami-Żydami?

Niestety, dotychczas w Archiwum UAM nie natknąłem się na żaden taki wyraźny ślad oburzenia czy wsparcia. Nie oznacza to jednak, że organizacje studenckie o charakterze ideowo-wy-

chowawczym, dalekie od obozu narodowego, zupełnie milczały. Na przykład bardzo słaba w Poznaniu lewica akademicka wytykała narodowcom ich obsesyjny antysemityzm. Jednakże były to głosy odosobnione i niezbyt donośne. Moją uwagę zwróciło natomiast coś innego – pewna rywalizacja na antysemityzm. Podam jeden przykład. Antysemitickimi hasłami operował również Legion Młodych, który powstał jako reprezentacja sanacyjnej młodzieży na wyższych uczelniach. Zorganizowany został na podobieństwo Obozu Wielkiej Polski, choć właśnie tej organizacji miał się przeciwstawić w walce o wpływy wśród studentów. Na podstawie materiałów kolportowanych na UP przez Legion Młodych można stwierdzić, że w pewnym sensie rywalizował on z Młodzieżą Wszechpolską o to, która z tych organizacji jest rzeczowo antysemitcka. Przywołajmy fragment Biuletynu Legionu Młodych z czasu wyborów do poznańskiej Bratniej Pomocy w 1937 roku. Nawiązując do antysemityzmu w wykonaniu Młodzieży Wszechpolskiej pisano w nim: „nie bezprawne czyny, ale świadoma praca całego narodu polskiego w dziedzinie gospodarki oraz solidarna postawa bojkotu wykluczą żydów z organizmu Polski. Nie papierowe ustawy i nie to wszystko, co wyraża się zaprzeczeniem i upośledzeniem żydów jako ludzi, ale czyn nasz i praca, zmierzająca do stworzenia Polski zorganizowanej pracy, do przebudowy społeczno-gospodarczej, wyrzucą raz na zawsze żydów z naszych granic. Tutaj leży nasz antysemityzm, nie zagadnienie od święta i wiecu, ale żmudna, codzienna praca”.

W przedwojennym Poznaniu mieszkało stosunkowo mało Żydów. Niewiele też studiowało na UP. Tym bardziej zadziwia, że zachowania antysemitckie miały tu miejsce.

Może to się wydawać paradoksalne, ale nie ma w tym nic dziwnego. Antysemita wcale nie potrzebuje Żyda, a antysemityzm powinien być przede wszystkim rozpatrywany jako pewien kod kulturowy. Przecież Żydów w Niemczech wcale wielu nie mieszkało, a jednak stało się, co się stało. A czy po Holokauście zostało w Polsce wielu Żydów? No nie, a w Marcu 1968 roku zgotowano im czystkę antysemitcką. Poza tym musimy pamiętać o tym, że przedwojenny Poznań aż tętnił antysemityzmem, choćby na łamach drukowanej tu obficie nacjonalistycznej prasy. No i w kontekście naszej rozmowy sprawa szczególnie ważna: przed wojną wyższe uczelnie w Polsce stały się pierwszym frontem walki, którą narodowcy wypowiedzieli Żydom, choć oczywiście nie jedynym. Poznania w tej batalii nie mogło zabraknąć.

NIKT NIE DAWAŁ MI SZANS

– Na konferencjach mówię: „Przerwa techniczna, bo Państwa nie słyszę”. Wymieniam baterię na oczach wszystkich, niech wiedzą, że moje życie zależy od maleńkiej baterii w aparacie słuchowym – mówi Beata Iwanicka, niesłysząca doktorantka UAM.

Beata Iwanicka uczy studentów, pisze doktorat, choć w dzieciństwie mówiono, że nic nie osiągnie, bo jest głucha. Jedna ze studentek w mailu do redakcji tak opisała młodą wykładowczynię Wydziału Studiów Edukacyjnych: „Jest niesamowita, jej zajęcia przyciągają rzesze, wyróżnia ją to, że nie słyszy”.

– Przykleja się łatkę – głuchy to głupi. W głowie mi się nie mieściło, że mogę pisać doktorat. Mąż pokazał mi, że można – mówi doktorantka.

Od zawsze chciała być nauczycielem, do czego zniechęcali ją niektórzy pedagodzy. Wydawało im się, że dziewczynka jest skazana na porażkę.

– Dyrektor szkoły podstawowej powiedział, że nie chce dziecka niesłyszącego i znajdzie coś, żebym do jego szkoły nie mogła chodzić. Dobrze czytałam, liczyłam – wszystko ponad normę. – opowiada Iwanicka. – Co tu zrobić? Obserwowali mnie i znaleźli dowód, że jestem nienormalna. Napisali w opinii, że: „stwarzam zabawy niespotykane u innych dzieci, bo wchodzę na zjeżdżalnię od drugiej strony”. Dziś pytam studentów: kto coś takiego robił w dzieciństwie? Wszyscy podnoszą rękę. Czy skończyliście szkołę specjalną? Zaczynają się śmiać. Pokazuję im, że każde zachowanie, które jest akceptowane u zdrowych dzieci, u dzieci z niepełnosprawnością może być uważane za przejaw nienormalności. Chcę, żeby moi studenci byli dobrymi pedagogami, nie opierali się na zaleceniach, tylko poznawali dziecko od środka. Nikt nie dawał mi szans. Teraz jak zostałam nauczycielem akademickim słyszę: „wierzyliśmy w ciebie”. Nie zawsze tak było.

Kto sprząta po psie?

– Na pierwszych zajęciach mówię: „Nazywam się Beata Iwanicka, jestem osobą głuchą z medycznego punktu widzenia, komunikuję się w języku polskim i migowym. To nie mój problem, czy się ze mną dogadacie, tylko wasz, ponieważ jako pedagodzy musicie nauczyć się komunikować z osobami takimi jak ja. I pamiętajcie, że nie jestem osobą reprezentatywną, bo ładnie mówię” – wyjaśnia doktorantka – Nie próbuję udowodnić, że czegoś nie wiedzą. Zajęcia mają mieć w głowach, żeby w przyszłości, gdy zostaną pedagogami, dyrektorami placówek, dostaną grant z UE, wiedzieli, jak zadbać o potrzeby osób z niepełnosprawnościami.

Studenci zaliczają przedmiot pedagogika specjalna, podstawy edukacji i rehabilitacji osób z niepełnosprawnościami w sposób praktyczny. Dzielą się na zespoły projektowe i np. wcielają się w bogatych inwestorów, którzy planują budowę obiektów dostępnych dla wszystkich osób z niepełnosprawnościami, a potem prezentują swoje projekty. Potwierdzeniem tego praktycznego wymiaru był list od studentki, w którym dziękowała za zajęcia. Dzięki nim zwróciła uwagę, żeby wokół gabinetu logopedycznego, który otwiera dla osób po wylewach, była odpowiednia infrastruktura.

– Pytam studentów – kto ma psa? Zgłasza się wiele osób. – A kto z was sprząta po psie? Niewiele. – Pomyślcie – kontynuuję – że ktoś jedzie wózkiem inwalidzkim albo idzie niewidomy z laską i musi lawirować między psimi „minami” – opowiada Iwanicka – Proszę ich, żeby szukali różnych barier na kampusie. W ten sposób dowiadują się, jak osoby z niepełnosprawnościami funkcjonują na naszym uniwersytecie. Kiedyś studentka dostała zadanie, by na wózku pojechać do biblioteki podbić obiegówkę. Był zimny dzień, parking oblodzony, w bibliotece bibliotekarki siedziały za wysokim kontuarem, prawie jej nie widziały i na dodatek odesłały do dziekanatu. Te zajęcia pokazują, z czego nie zdajemy sobie sprawy, że wystarczy jedna mała rzecz, by ułatwić innemu człowiekowi życie.

Rok w świecie ciszy

Straciła słuch jako czterolatka w wyniku błędu medycznego. – Mama poświęciła się, żebym mówiła. Zrezygnowała z pracy, przeznaczyła mnóstwo czasu na terapię logopedyczną, mimo że nie jest logopedą – wspomina Beata Iwanicka – Jako małe dziecko nauczyłam się podstaw języka i dzięki temu mówię dobrze. Kiedyś nie było implantów, a na aparat słuchowy czekało się rok. Rok w świecie ciszy.

Oprócz kochających rodziców wsparciem dla zdolnej dziewczynki była wychowawczyni w pierwszych klasach podstawówki. Gimnazjum woli nie wspominać, o wiele lepiej było w liceum, gdzie klasa była fajna, a dyrektor wyszedł naprzeciw potrzebom niesłyszącej uczennicy i zmienił jej nauczyciela języka niemieckiego. Dzięki temu zdała maturę.

– Na studiach z początku spotkało mnie trochę przykrości. Zanim zapisałam się na pedagogikę, studiowałam na innym wydziale, którego dziekan powiedziała wprost: nie chcę pani tutaj, bo jest pani głucha. Koledzy i koleżanki z roku słysząc, że normalnie mówię, nie chcieli pożyczać mi notatek z zajęć. Mówili, że jestem leniwa i nie chce mi się pisać. Nie rozumieli, że czytam z ust i jeśli piszę, tracę kontakt z wykładowcą. Szybko trafiłam do Zrzeszenia Studentów z Niepełnosprawnościami Ad Astra, jeszcze wtedy pod opieką Romana Durdy. Przez lata uniwersytet mocno się zmienił, stał się o wiele bardziej dostępny, mamy studentów, którzy posługują się wyłącznie językiem migowym, bardzo dobrą pracownię języków obcych i świetne wykładowczynie – Izabelę Komar-Szulczyńską, Annę Nabiałek, Joannę Nehring. Uważam, że Ad Astra i Biuro Wsparcia Osób z Niepełnosprawnościami zrobiły kawał dobrej roboty. Prof. Andrzej Lesicki i prof. Bogumiła Kaniewska, którzy byli prorektorami ds. studenckich, rozumieli nasze problemy i nie stwarzali instytucjonalnych barier.

Inaczej jest na szczeblu centralnym – mąż, który jest adiunktem na UAM, zadzwonił do ministerstwa, czy w kosztorys grantu może wpisać wsparcie dla osoby z niepełnosprawnością. Spotkał się reakcją: To na uczelni pracują osoby z niepełnosprawnościami i piszą granty?



Po pierwsze edukacja

– Ciągłe jest nas za mało, żebyśmy mogli wywalczyć np. zmiany w programach grantowych. Uważam, że osoby z niepełnosprawnością zmieniają rzeczywistość przez swój przykład – twierdzi Beata Iwanicka – Tak robię na wydziale. Czasem czegoś nie usłyszę, nie odpowiem albo nie zrobię tego adekwatnie. Wtedy tłumaczę, że jeśli na ciebie nie patrzę, nie rozumiem, co mówisz. Gdy wyczerpuje mi się bateria na spotkaniach czy konferencjach, mówię: „Przerwa techniczna, muszę wymienić baterię, bo Państwa nie słyszę”. Robię to na oczach wszystkich, niech wiedzą, że moje życie zależy od małej baterii w aparacie słuchowym.

Daleko nam jeszcze do Zachodu, np. do Wielkiej Brytanii, gdzie obowiązuje ustawa The Disability Discrimination Act. Dzięki temu każdy budynek użyteczności publicznej musi być dostępny dla osób z niepełnosprawnościami. Jak byłam na wymianie Erasmus+ poszłam do muzeum, które nie miało pętli indukcyjnej – przejęty pracownik oddał mi prywatne słuchawki. Tam można pozwać instytucję za dyskryminację. Kolejnym problemem jest brak edukacji. To zatrważające, że większość nauczycieli i wykładowców akademickich nie ma przygotowania do prowadzenia zajęć w grupach, gdzie mogą być osoby z różnymi dysfunkcjami. A to są proste zasady – nie odwracaj się plecami do słuchaczy, korzystaj z mikrofonu w salach, gdzie są pętle indukcyjne. W krajach skandynawskich każda osoba, która chce zostać nauczycielem, musi przejść kurs języka migowego, w Holandii dzieci w przedszkolu poznają jego podstawy. Nie chodzi o to, żeby wszyscy biegle migali, ale żeby znali choć alfabet. Po wielu latach udało mi się wprowadzić 30 godzin zajęć z podstaw języka migowego na V roku logopedii. To wciąż mało, problem pojawia się na szczeblu ministerstwa, gdzie nie do końca zdają sobie sprawę, jakich kompetencji potrzebujemy, żeby być dobrymi pedagogami. Mam nadzieję, że nasz uniwersytet będzie jak iskra, która roznieci potrzebę nowych wytycznych do edukacji osób z uszkodzeniami słuchu.

Gdy wypadnie bucik

Beata Iwanicka kończy pracę nad doktoratem na temat macierzyństwa kobiet z uszkodzeniami słuchu. – W badaniach zaskoczyło mnie, że prawie wszystkie respondentki mówiły o braku

wsparcia psychologicznego. W tej grupie również spotykane są depresje poporodowe, myśli samobójcze, uzależnienia od alkoholu – opowiada – Tylko, że głusi nie mają gdzie się zwrócić po pomoc, bo niewielu terapeutów zna język migowy. Pierwsza wizyta u psychologa jest trudna, a tym bardziej, gdy pośrednicy tłumacz.

Kobiety funkcjonalnie słyszące, czyli takie jak ja, często odczuwają wstyd. Boją się, że będą oceniane jako wyrodne matki np. w sytuacji, gdy dziecku wypadnie bucik z wózka. Ludzie będą wołać, a one tego nie usłyszą. Dużo mówi się o tolerancji, ale nie ma jej dla osób z niepełnosprawnościami. Ktoś, kto przeczyta moje wywiady, może być zszokowany. Inaczej by się czuł, gdyby wysłuchał tych historii opowydanych na żywo, z poczuciem dumy: „Tak, było mi ciężko, rzucali we mnie kamieniami, była przemoc seksualna w gimnazjum na oczach nauczycieli, którzy nie reagowali, ale popatrz, w jakim teraz jestem miejscu. Mam fantastycznego męża, piękne dziecko, czuję się szczęśliwa i spełniona”.

Miałam szczęście do wydziału

Doktorantka dostała Nagrodę Miasta Poznania za pracę magisterską, Stypendium im. dr. Jana Kulczyka, a także zwyciężyła w ogólnopolskim konkursie na najlepszą pracę magisterską i doktorską „Otwarte drzwi” w zakresie rehabilitacji społecznej. – Jednak żadne nagrody nie ucieszyły mnie tak bardzo jak Złote Serce Pedagoga WSE – podkreśla Beata Iwanicka – Wyróżnienie od studentów motywuje do dalszej pracy, pokazuje, że idę dobrą drogą. Miałam wielkie szczęście do wydziału. Dziekan prof. Agnieszka Cybal-Michalska, prof. Kinga Kuszak, która zauważyła mnie w gronie studentów, moja mentorka prof. Agnieszka Gromkowska-Melosik, promotorki – prof. Beata Jachimczak oraz prof. Magdalena Olempska-Wysocka – to są fantastyczne osoby, które w pewien sposób mnie uratowały. Żyłam ze świadomością, że nie jestem nic warta, choć rodzice i moja rodzina przekonywali mnie, że mogę dużo osiągnąć. Gdy skończyłam studia, zastanawiałam się, co dalej. Wydział rozwinął nade mną parasol ochronny, dał mi poczucie akceptacji, że komuś jestem potrzebna, że to, jak funkcjonuję, może nauczyć innych czegoś dobrego. Jestem za to bardzo wdzięczna.

Ewa Konarzewska-Michalak

NA POCZĄTKU BYŁA PODRÓŻ

Profesor Elżbieta Goździak jest znanym antropologiem, autorytetem z zakresu badań migracyjnych, jedną z niewielu Polek, które pracowały w rządzie amerykańskim. Należy też do wąskiego grona osób, które za oceanem potrafiły realizować swoje zawodowe ambicje.

Od lat dzieli rok na dwie połowy. Pierwszą spędza w Waszyngtonie, prowadząc zajęcia na Georgetown University, drugą w Poznaniu, gdzie pracuje w Instytucie Antropologii i Etnologii UAM oraz Centrum Badań Migracyjnych UAM. Prof. Goździak zwykle o tej porze roku jest w Poznaniu. Rok 2020 jest jednak inny – w Stanach Zjednoczonych zatrzymała ją pandemia. Zaplanowane spotkanie odbywamy więc online.

One way ticket

– Dzisiaj wiele opowiada się o tym, jak zmuszano nas do tego, abyśmy wyjeżdżali z kraju. Prawda jest jednak bardziej skomplikowana – mówi prof. Goździak – Akurat w moim przypadku zaważył pewien tragiczny wypadek... Był 1984 rok. Dr Elżbieta Goździak pracowała na stanowisku asystenta w Katedrze Etnografii. To był ten czas, kiedy w Polsce etnografia powoli zaczynała przekształcać się w etnologię i antropologię. Z kolegami z roku: Michałem Buchowskim i Wojciechem Bursztą próbowali zaczynać nowe tematy. Jak wspomina, nie było to łatwe – nie mieli dostępu do publikacji zagranicznych, nie mogli śledzić tego, co działo się wówczas w światowej nauce. Towarzyszył im jednak entuzjazm i chęć odkrywania nowych obszarów wiedzy. Etnografia mieściła się wówczas w Collegium Novum, natomiast po sąsiedzku, na V piętrze, odbywały się zajęcia dla studentów anglistyki. To tam właśnie wydarzył się wypadek. – Jedna ze studentek anglistyki wyskoczyła przez okno. Mówiło się, że nie mogła poradzić sobie z presją polityczną. To sprawiło, że władze uczelni wystosowały dyrektywę do wszystkich pracowników naukowych, aby ci podpisali dokument, w którym przejmowali odpowiedzialność personalną za swoich studentów. Do dziś nie wiem, jakby to miało wyglądać – wspomina – Miałam wtedy 29 lat, byłam młodą osobą – jak mogłabym zapobiec podobnemu wypadkowi?

To wydarzenie uruchomiło lawinę skutków, a pierwszym z nich była decyzja o opuszczeniu kraju. Jak wspomina, miała dobry „track record” na tę podróż. W czasach studiów doktorskich wielokrotnie wyjeżdżała do USA. Miała tam rodzinę. Jeździła więc do rodziny, a przy okazji buszowała w bibliotekach, wyszukując materiały do pracy doktorskiej z zakresu semiotyki. – Dzięki tym wyjazdom miałam dobre relacje z pracownikami konsulatu – wspomina – zdarzało się, że sprowadzali dla mnie

książki, które były mi akurat potrzebne. Część z tej literatury do dzisiaj zasila bibliotekę Instytutu. Nie miałam też problemów z otrzymaniem wizy.

Od pacybuta do milionera

W dostępnym w Internecie wywiadzie prof. Elżbieta Goździak dzieli się swoją opinią o tzw. kryzysie emigracyjnym. Nie lubi tego określenia. Jej zdaniem kryzys może dotyczyć rządu, systemu zarządzania... Problemem nigdy nie powinni być ludzie. Sama doświadczyła losu emigranta. Jej historia mogłaby posłużyć za kanwę filmu: jest realizacją amerykańskiego mitu „od pacybuta do milionera”. W tej historii determinacja i upór prowadzą do happy endu. – Zaczynałam tak jak inni imigranci, od pracy fizycznej – wspomina – Znalazienie upragnionej pracy naukowej zajęło mi dokładnie 18 miesięcy. Sprzedając ubranka dla dzieci równocześnie odwiedzałam miejsca, w których – jak mi się wydawało – mogłabym znaleźć satysfakcjonujące zajęcie. Tak trafiłam do biura imigracyjnego, oferując swoje usługi jako osoba znająca doskonale język rosyjski, która mogłaby pracować z diasporą żydowską ze Związku Radzieckiego. Powiedziano mi wówczas, że jako emigrantka nie mam żadnych szans na zatrudnienie. Jednak kilka tygodni potem zadzwonił telefon. Pan, z którym wcześniej rozmawiałam, zaproponował mi mój pierwszy kontrakt naukowy. Po nim, jak po pociągnięciu sznurka, posypały się kolejne...

Temat: uchodźcy

W tym czasie zmieniły się też zainteresowania naukowe prof. Goździak. Lata 80-te to był szczególny moment w historii USA. Rząd amerykański właśnie zakończył przesiedlać uchodźców z Wietnamu, Kambodży oraz Laosu. Powoli zaczęli też napływać uchodźcy z Polski, Afganistanu, rumuńscy baptyści, Etiopczycy i Erytrejczycy. – Załapałam się do projektu badań nad sytuacją emigrantów w Waszyngtonie, Nowym Jorku, Chicago, Dallas i Los Angeles. Na początku miały to być jedynie wywiady z rodzinami z Polski, ale ponieważ miałam doktorat i doświadczenie w pracy naukowej, poszerzono zakres moich obowiązków. Tak to się zaczęło.

Kiedy przesłuchuję nagrany rozmowę, uświadamiam sobie, że amerykańską podróż prof. Goździak można opisać przez



pryzmat grantów, w których brała udział – tak było ich wiele. Choćby kontrakt w Refugee Policy Group – to wtedy zaczęła ubiegać się o zieloną kartę. Dziewczyna z Polski nie musiała tak bardzo obawiać się deportacji do kraju, jednak brak pozwolenia na pobyt przeszkadzał w realizowaniu kolejnych projektów naukowych. Utrudniał podróże. – Wiele wtedy wyjeżdżałam. Prowadziłam badania w różnych częściach świata, a nie mając uregulowanej sytuacji prawnej, każdą podróż musiałam planować z prawnikiem. To on załatwiał mi pozwolenia na wyjazd. W końcu stało się to uciążliwe. Powoli też zmieniała się moja sytuacja prywatna. Zaczęłam myśleć o założeniu rodziny.

Zieloną kartę otrzymała w tym samym roku co Michaił Barysznikow, znany rosyjski tancerz, na podstawie tego samego paragrafu, dla wyróżniających się naukowców i artystów. Otrzymanie karty obwarowane było licznymi wymogami. Musiała wówczas np. udowodnić, że ma wyższe kompetencje niż jej amerykańscy koledzy, albo że świetnie zna polski.

Biała dziewczyna na czarnym uniwersytecie

Do pracy na afroamerykańskim Uniwersytecie Howarda w Waszyngtonie zaprosił ją znajomy, dziekan szkoły dla pracowników socjalnych. Dziś mówi o tym jako o najlepszej decyzji w życiu. Biała dziewczyna z Polski po raz pierwszy zetknęła się z prawdziwą różnorodnością kulturową. Wcześniej mogła o niej jedynie czytać w książkach. Pracowała na poziomie studiów magisterskich ze studentami, którzy niekiedy byli starsi od niej. Część z nich stanowili pracownicy socjalni, którzy przygotowywali się do pracy w środowiskach imigrantów. Dzisiaj antropologia stosowana jest jednym z tematów, będących naukową wizytówką prof. Goździak.

Praca w rządzie amerykańskim

Decyzję podjęła spontanicznie. Od dawna nie podobała jej się polityka rządu, postanowiła więc, że zatrudni się w rządowej placówce i spróbuje rewolucji od środka. Należy do naprawdę niewielu Polaków, którzy tego dokonali. Kontrakt w Biurze do Spraw Uchodźców przypadł na czas administracji Billa Clintona. – Na wstępie dostaliśmy do ręki duży raport z Ministerstwa Zdrowia i Opieki Społecznej w sprawie stanu zdrowia psychicznego i fizycznego mieszkańców USA. Zastanowiło nas wówczas, że nie ma w nim ani słowa o imigrantach czy uchodźcach. Nikomu nie przyszło do głowy, aby ująć ich w sprawozdaniu. Gdy patrzę na to z perspektywy czasu, to chyba największym naszym

sukcesem była wówczas zmiana paradygmatu myślenia. Wielu amerykańskich polityków po prostu nie uświadamiało sobie, jak bardzo zróżnicowany kulturowo i etnicznie jest ten kraj.

Podobnie było z programami pomocowymi, którymi wówczas zajmowało się jej biuro. Większość z nich skonstruowana była pod potrzeby mężczyzn. Tymczasem według statystyk $\frac{3}{4}$ uchodźców stanowią kobiety z dziećmi. – Patrząc szerzej można powiedzieć, że $\frac{3}{4}$ populacji to kobiety i dzieci. To nieco wyświechtane powiedzenie, ale prawdą jest, że to mężczyźni giną na wojnie, a kobiety zostają w domu, zajmują się dziećmi i to one w końcu, jeśli zajdzie taka potrzeba, są przesiedlane. Doszliśmy wspólnie do wniosku, że te programy powinny być dostosowane do ich potrzeb. Zresztą czas pokazał, że to właśnie kobiety lepiej asymilują się w nowym środowisku, chętniej uczestniczą w kursach, podejmują wyzwania i tak dalej. Efektem naszych starań było powołanie przez Billa Clintona biuro do spraw kobiet. Niestety, jednym z pierwszych posunięć jego następcy Georga W. Busha była jego likwidacja. Namawiano mnie, abym napisała w tej sprawie do prezydenta – niestety mój protest pozostał bez odzewu.

Zacząło się od Fulbrighta

Kolejny kontrakt zaprowadził ją na Georgetown University, gdzie pracowała do 2018 roku, przyjmując u siebie studentów i naukowców z Polski i z Europy Środkowej. Profesor Goździak od wielu lat widnieje również w spisie osobowym Instytutu Antropologii i Etnologii UAM – jako profesor wizytujący, jest także członkiem Centrum Badań Migracyjnych, gdzie współpracuje z dr hab. Izabellą Main. W tej chwili obie opracowują szereg publikacji w oparciu o badania etnograficzne Polek mieszkających w Norwegii oraz realizują unijny projekt dotyczący norm i wartości związanych z migracjami i uchodźctwem (NoVaMigra). Swoje wizyty w Poznaniu zaczęła od stypendium Fulbrighta, a potem zaczęła tu mieszkować dłużej i... dłużej.

Wszystko to sprawia, że jest wnikliwym obserwatorem zmian zachodzących w naszym społeczeństwie (albo ich braku). Będąc częścią tej wspólnoty, a równocześnie funkcjonując poza nią, celnie wyłapuje wszelkie niuanse i sprzeczności w jej zachowaniu. Na jednym z nagrań na YouTube mówi: „dziwi mnie, że Polacy – naród, tak bardzo doświadczony przez historię, który wielokrotnie zmuszany był do emigracji, dzisiaj tak niechętnie odnosi się do emigrantów ...” Spostrzeżenia te zapewne jeszcze długo stanowią będą pożywkę dla pomysłów na kolejne badania i projekty, które poprowadzi na UAM.

Magda Ziółek



Kampus Morasko

FOT. ADRIAN WYKROTA